PAMIĘTNIKI

ANTONIEGO ROZWADOWSKIEGO

PAMIĘTNIKI

Antoniego Rozwadowskiego

ODBITKA Z „PRZEGLĄDU“

LWÓW
NAKŁADEM AUTORA
Z DRUKARNI NARODOWEJ W. MANIECKIEGO
1888

Czytając pamiętniki starszych moich kolegów i rówieśników z epoki wojen Napoleońskich, nieraz brała mnie ochota opowiedzieć to, co w tych czasach sam widziałem, w czem czynny brałem udział. Nie mam pretensyj, aby te wspomnienia zwykłego oficera, mianowicie tak młodego, jak ja wówczas byłem, mogły zawierać coś bardzo ważnego lub mogły zainteresować szersze koła w kraju; zawsze jednak, być może, że wspomnienia moje przydadzą się jako cegiełka do odtworzenia ogólnego obrazu, olbrzymich zapasów tej epoki; może znajdą się fakta mało znane, lub przez innych zapomniane. — Dzieciom zaś moim chciałbym zostawić pamiątkę, że darmo życia nie przeżyłem, za piecem nie siedziałem; a jak można było, w złej i dobrej doli, krajowi i Ojczyźnie służyć się starałem.

Turówka 1853.

Konstantemu i
Tom Rozwadowski
1901.
Franciszkowi i
Konstanty Rozwadowski
1956

Zanim jednak opowiem to, co sam przeżyłem, na co patrzałem własnemi oczyma, muszę trochę cofnąć się do wspomnień lat dziecinnych, które mi stoją tak żywo w pamięci tak silnie w wyobraźni, że mi się czasem wydaje, jakbym sam w tych wypadkach osobisty czynny brał udział

Ojciec mój Kazimierz Rozwadowski rozpoczął służbę swą wojskową w roku 1762, w chorągwi Czartoryskich, mając lat 19.

Reorganizacja wojsk narodowych zastała go porucznikiem tej chorągwi. Jako major kawalerji narodowej, pułku Wyszkowskiego, znalazł się w roku 1793 pod komendą ks. Józefa Poniatowskiego, w oddziale armji naszej, stawiającej skuteczny opór następującym wojskom carowej Katarzyny. Rozkaz królewski zabronił dalszego oporu. Z gniewem i żalem musiały cofać się wojska nasze, zostawiając nieprzyjacielowi bogaty kraj i obficie zaopatrzone magazyny wojskowe.

Podczas chwilowego pokoju, jaki nastąpił, ożenił się ojciec z dawniej sobie zaręczoną, Anną Golejewską, córką brygadjera, Józefa Golejewskiego i Anny z Zapolskich, lecz zaledwie kilka miesięcy mógł spokojnie przepędzić w domu. — Ukazem carowej Katarzyny, wcielono do armji rosyjskiej wszystkich wojskowych polskich, zamieszkałych w świeżo od Polski oderwanym kraju. Za usuwanie się, grożono karami jak za dezercję, deportacją lub śmiercią i konfiskatą majątku. — Ojciec musiał czemprędzej jechać do Petersburga, aby sobie tam, za pomocą starego swego przyjaciela, Ożarowskiego, u Zubowa uwol-

nienie z wojska wyrobić. Tymczasem wybuchło w kraju powstanie Kościuszkowskie; rząd rosyjski postanowił cichaczem otoczyć i zabrać oddziały wojsk polskich. konsystujące na Białorusi i na Ukrainie, aby osłabić siły, na które Kościuszko mógł liczyć. Były to: brygada gen. Wyszkowskiego, w której służył ojciec, brygady gen. Łaźnińskiego i pułkownika Słomińskiego; na Ukrainie były jeszcze dwa pułki kawalerji.

Mimo tajemnicy, jaką osłonięty był ów zamiar rządu, ojciec dowiedział się o nim przypadkiem. Nie tracąc chwili czasu poleciał kurjerskiemi końmi do Mohylowa; udało mu się tam przybyć przed kurjerem rządowym; zwołał natychmiast oficerów na naradę, a uwiadomił brygady Słomińskiego i Łaźnińskiego; generał Wyszkowski, którego brygada stała w Morachwie, miasteczku pod Mohylowem, wahał się; wtedy korpus oficerów postanowił wracać choćby przebojem do ojczyzny, a dowództwo powierzono ojcu; tak samo zrobiła brygada Słomińskiego, wybierając majora (późniejszego generała i więźnia na Kamczatce) Józefa Kopcia; generał Łaźniński zaś sam swoję brygadę do kraju poprowadzić postanowił; we 24 godzin wyruszyła pierwsza brygada pod dowództwem majora Kopcia, potem brygada dowodzona przez ojca, a trzeci pomaszerował Łaźniński. Na Dniestrze pod Mohylowem, jeden był tylko prom, starszyzna nim się przeprawiła; a ojciec z brygadą wpław Dniestr przebyć musiał Tylko słabsze oddziały rosyjskie spotykając po drodze, rozbili je i szczęśliwie z Kościuszką się połączyli. ciągnąc przez Bessarabję i część Galicji pod Dubienkę. Mniej szczęśliwemi były pułki ukraińskie bo zaskoczone przeważnemi siłami w marszu do kraju, zostały rozbite, większą część wzięto w niewolę, a tylko pojedyńczym ludziom i oficerom udało się wymknąć i po niesłychanych wysiłkach dostać do armji Kościuszki.

W uznaniu zasług ojca, zaszczycił go Kościuszko pierścieniem honorowym z napisem: „Ojczyzna swemu obrońcy“; jedyna to była wówczas odznaka honorowa, po skasowaniu przez Kościuszkę orderów; a nie wielu nią pochlubić się mogło

Rząd rosyjski wydał na ojca wyrok śmierci i zabrał na skarb majątek; a matkę, będącą wówczas w poważnym stanie, z własnego domu wyrzucić i do więzień kijowskich zamknąć kazano Ledwie usilne prośby pokrewnych i przyjaźnych kobiet wyrobiły u ludzkiego zresztą generał-gubernatora księcia Szeremetjewa, że matce dwa pokoiki we własnym domu zamieszkać dozwolono, ale pod strażą wojskową, z surowym nakazem wzbronienia wszelkiej komunikacji z mężem lub jego krewnymi; pomimo dość czujnej tej straży, zdołał jednakże ojciec udzielać wiadomości matce przez cały czas kampanji Kościuszkowskiej: matce dodało to sił do zniesienia tego ciężkiego położenia, dolegliwości fizycznych i cierpień moralnych.

Po upadku powstania Kościuszkowskiego dostał się ojciec, kilkakrotnie ranny, dzięki pomocy wiernego kozaka Kiprana, do Galicji, i znalazł chwilowy przytułek u dawnego przyjaciela Siedliskiego, w Błażowej, w Przemyskiem. Pierwszą jego myślą było, ażeby oswobodzić i sprowadzić żonę; ale sam, znany w okolicy, a skazany na śmierć buntownik wyruszyć po nią nie mógł; znalazł się jednak wierny kolega i przyjaciel chorąży Skalski, który mu się sam na tę niebezpieczną wyprawę ofiarował I dotrzymał słowa; Bóg pozwolił mu wykraść z pod Kijowa i przywieźć do Husiatyna matkę naszę, mimo niebezpieczeństw i trudności niesłychanych. Dom matki był tak strzeżony, że będąc już we wsi samej chorąży Skalski ukrywać się musiał kilka dni w grobach, przygotowanych na ofiary dżumy, podówczas na Podolu grasującej.

W Husiatynie oczekiwał ojciec powrotu żony i przyjaciela; rzewne i smutne było spotkanie; rok zaledwie jak

się rozstali, a z wolnych obywateli znaleźli się tułaczami, z ludzi zasobnych, prawie w biedzie; ojca matka nie poznała w pierwszej chwili, z ogromnego mężczyzny w sile wieku, zrobił się siwy, pochylony dziad prawie starzec; matka straciła dziecię w kilka dni po urodzeniu, a uciążliwa podróż także wyryła swe ślady na jej twarzy Z dość znacznego majątku okruchy zaledwie uratować zdołali, to jest sumy uratowane po za zaborem rosyjskim, których rząd zabrać nie mógł, a z gotówki, którą ojciec miał z sobą, zostały Kościuszkowskie banknoty w zamian za złoto oddane do ubogiej naszej kasy wojennej *).

Rok cały przesiedzieli rodzice w gościnnym domu pp. Siedliskich; pierwszy fundusz, który odebrać zdołali, (niewielka sumka, ulokowana u pani Łazarewiczowej w Warszawie) posłużyła w połączeniu z fundusikiem, jaki matka uratowała, na wzięcie dzierżawy Derewlan, koło Milatyna. Wioseczka to niewielka, a kolegów, rozbitków Kościuszkowskich, których koło siebie przytulić trzeba było, było dużo. Na odgłos formujących się legjonów, dążyli nasi do Włoch, jedni przybywali, drudzy wyjeżdżali, niejeden potrzebował koniecznego na drogę zasiłku, koniec końców, zaczęło niewystarczać już na życie.

Szczęściem otworzył się wtedy dla matki spadek ze wsi Kopestyrzyna, położonej w okolicach Międzyboża, a będącej dotychczas pod dożywociem macochy mojej matki, drugiej żony brygadjera Golejewskiego. Należało się matce z tego spadku 4000 dukatów; Moskale o tej sumie nie wiedzieli i dla tego jej niezaaresztowali; lecz jak ją wydobyć? Osobiście nie mógł ojciec się tam pokazać; listownie, także niebyło bezpiecznie, bo wszystkie listy otwierano; a dowiedziawszy się o sumie, rząd niechybnie by ją zabrał. Wtedy udał się ojciec o pomoc do szlache-

*) Ze stu tysięcy złotych polskich zostawionych w banknotach Kościuszkowskich złożyliśmy po śmierci ojca część w Zakładzie narodowym Ossolińskich ku wiecznej pamiątce.

tnego magnata, którego osobistą przyjaźnią się szczycił; niechże wspomnienie o jednym więcej, z mnogiej liczby szlachetnych jego czynów będzie wdzięcznym hołdem Jego pamięci.

Udał się ojciec listownie z prośbą do księcia feldmarszałka Czartoryskiego, aby sumę matki na swoje imię przyjął, i administracji dóbr swoich Międzyboż. która tuż w sąsiedztwie, łatwo tem się zająć mogła, odebranie tej sumy polecił.

Książę feldmarszałek odpowiedział przyjaźnym listem, życzliwie lecz ogólnikowo; tem większą niespodzianką było dla ojca zjawienie się plenipotenta dóbr Sieniawskich księcia, który z polecenia swego pana, wyliczył ojcu całą sumę w nowych obrączkowych dukatach jednego stempla. Administracja księcia odebrała tę sumę dopiero w kilka lat z Kopestyrzyna i to nie bez trudności.

Fundusz ten w porę odebrany, ułatwił ojcu wyjście z przykrego położenia; wkrótce potem ułożył się ojciec o sumę, którą miał u Rzewuskich i wziął w zastawną dzierżawę Ułaszkowce i Głęboczek, a że był gospodarny i zapobiegliwy, więc majątkowe sprawy szły szczęśliwie. Jednak dzieci przybywały i podrastały, było nas już czworo, żeby tedy być bliżej Lwowa i szkół, kupił ojciec Żabokruki, koło Bakowiec w r. 1808, i z matką tam zamieszkał, nieopuszczając jednak dzierżawy Ułaszkowiec.

Tak żyli rodzice względnie spokojnie, bo raz tylko był napad rozbojników Arnautów na dom w Ułaszkowcach (świadkiem którego dotychczas przechowane porąbane biurko i stół), aż do roku 1809, głuche tylko wieści dostawały się na prowincję o wielkich wojnach poruszających Europę. — Pewnego ranka, na wiosnę r. 1809, oczekiwała matka sama w Żabokrukach, powrotu męża z Ułaszkowiec; gdy wpada nagle na dziedziniec, galopem, jednokonną biedką, żydek z Bakowiec, krzycząc na całe gardło: „Winszuję panu i pani! Państwo dobrzy Polacy!

nasze polskie wojsko do Lwowa przyszło!“ Nie mogła zrozumieć matka, jakim sposobem, wobec silnego korpusu austrjackiego, zajmującego Galicję, toby się stać mogło i uwierzyć nie chciała, dopiero gdy sąsiad starosta Kalinowski z Bakowiec, wpadł na koniu i radosną nowinę potwierdził, uwierzyła; lecz zaraz przyszła trwoga przed rabunkiem cofających się wojsk; a już kilkakrotnie w życiu go doznała. Starosta Kalinowski uspokoił matkę, że wojsko wzorowo się zachowuje; wkrótce też zobaczyć mogła nadciągające gościńcem kolumny wojsk, cofające się w kierunku Rohatyna i Stanisławowa. Ochłonąwszy, zabrała się matka, aby uwiadomić męża umyślnym, o tych nadzwyczajnych wypadkach; nim jednak zdołała wyprawić gońca, już wpadł do Żabokruk stary Kipran z listem od ojca, że odebrawszy od generałów oblęgających Zamość wezwanie, aby się stawił do armji, natychmiast do obozu wyjeżdża; matka niech będzie spokojną, bo rzeczy biorą taki obrót, że prawdopodobnie wkrótce we Lwowie się zobaczą.

Po wzięciu Zamościa książę Józef pospieszył z całą prawie siłą do Krakowa, aby ubiedz Moskali; mały tylko oddział wojsk naszych pociągnął do Lwowa i ten go zajął. Jakież ich tu czekało przyjęcie! Nie wiem, czy kto z nas będzie tak szczęśliwy, aby się podobnego w rodzinnym kraju doczekać! Wszystkie warstwy społeczeństwa na wyścigi ubiegały się, aby radość swą okazać; przygotowań nie było żadnych, bo na 24 godzin wprzód nie wiedziano nawet o naszem wojsku, a wszyscy byli ugoszczeni, przyjmowani, fetowani ze łzami radości i serdecznego rozrzewnienia; kobiety rozegzaltowane rzucały bukiety, wstęgi, kosztowne szale pod nogi koni naszych żołnierzy. Najwykwintniejsza młodzież z wojewodzicem Adamem Potockim na czele, Drohojowscy, Fredrowie, Baworowscy, Oktaw Rozwadowski, Mysłowski i inni widząc wojsko nasze zbiedzone, zmęczone, obdarte, zgłosili się dobrowolnie do peł-

nienia służby bezpieczeństwa, i chcąc dać wojskom możność odpoczynku, pełnili ją nie żartem, patrolując dniem i nocą ze szlachetną energją młodzieńczego serca. Kto co mógł przynosił w ofierze dla wojska narodowego. Generałowie: Kamiński i Rożniecki (którego dalszej karjery nikt wówczas przewidywać by nie śmiał), wezwali Józefa Dzierżkowskiego, kasztelana Ant. Bieńkowskiego i kasztelana Anton. Rozwadowskiego do rady celem zorganizowania kraju i obsadzenia urzędów; wszystkie osoby jakie rada na urzęda przedstawiała, zostały zatwierdzone z wyjątkiem ojca; Dzierżkowski ujął się za nim dość gwałtownie, na to generał Kamiński uśmiechnąwszy się powiada: Ten do was, cywilnych, nie należy, i przedłożył nominację ojca na szefa pułku, z wezwaniem dla niego do formacji pułku jazdy w czortkowskim i zaleszczyckim obwodzie. Dla ojca było to niespodzianką, lecz w rzeczywistości była to odpowiedź na podanie, które zacne obywatelstwo tych obwodów do Rządu Narodowego wniosło, ofiarując się wystawić pułk jazdy, z tem jednak zastrzeżeniem, aby dowództwo tego pułku Kazimierzowi Rozwadowskiemu powierzone zostało. Nim ojciec do Czortkowa zdążył, już przyjaciele werbowali ludzi, zbierali konie, przysposabiali zapasy. Pokrewne i z dawien dawna zaprzyjaźnione z nami rodziny: Kozickich, Podlewskich, Golejewskich, Horodyskich, Gołuchowskich, Koziebrodzkich, Hohendorffów, Czechowiczów, Szawłowskich spieszyły nietylko z materjalną pomocą, ale osobiście stawały do nowo tworzących się zastępów wojska narodowego.

Przejeżdżając przez Jezierzany, spotyka ojciec trzydzieści kilka wozów z ludźmi, bronią i rynsztunkami, wszystko jakby w tryumfie ciągnące, umajone wieńcami z liści dębowych; pyta ludzi, gdzie zdążają? do Czortkowa, do pułku pułkownika Rozwadowskiego, brzmiała odpowiedź. Tym to sposobem stało się możliwem, że podpułkownik Strzyżewski z kilkudziesięcioma starymi uła-

nami zdołał zająć cały obwód Zaleszczycki, Czortkowski, Tarnopolski i część Stanisławowskiego.

Podpułkownik Strzyżowski, młody, ambitny i zdolny oficer, dzielny żołnierz, mianowany był organizatorem wojsk naszych we wschodniej Galicji Ojciec choć tyle starszy wiekiem, służbą i rangą, chcąc uniknąć wszelkich szkodliwych nieporozumień lub kwasów, od razu otwarcie się z nim rozmówił, zgłaszając i oddając się pod jego komendę; harmonja i dobro ogólne na tem tylko zyskało, bo ambicje osobiste pozostały na boku. Organizacja szła energicznie, tak, że wkrótce Strzyżowski rozpoczął akcję przeciw dywizji generała Pickinga, z korpusu generała Merveldta. Po utarczce pod Zaleszczykami, gdzie odznaczył się porucznik Jerzy Hohendorff, biorąc w niewolę pół bataljonu grenadjerów austrjackich, zgłosiło się wielu Polaków, którzy od razu z ochotą szeregi naszego wojska pomnożyli. Jerzy Hohendorff wielkich nadziei oficer, zginął śmiercią walecznych pod Smoleńskiem, w roku 1812. Potem nastapiła utarczka pod Tarnopolem, poprzedzona sławnym wykradzeniem generała Pickinga z pośród jego wojsk, ze dworu w Zagrobeli, przez znanego wachmistrza Jaszczółda i starego ułana Czyżyka. Dokładnie opisuje fakt ten w pamiętnikach swoich generał Roman Wybranowski, wówczas młody podoficer. Z pod Tarnopola szedł Strzyżewski wzmocniony pułkami jazdy, sformowanemi na Wołyniu i przyprowadzonemi przez pułkownika Tarnowskiego i Trzecieskiego, oraz niewielkim oddziałkiem przyprowadzonym przez pułkownika Rzyszczewskiego, ciągle za Pickingiem, wyparł go z Chorostkowa, a ostatecznie dopadł i osaczył, obwarowanego w polu improwizowanym wałem z wozów (taborem) pod wsią Wieniawką. Dowództwo konnicy było powierzone ojcu, zaś dowództwo piechoty dzielnemu żołnierzowi, majorowi Leopoldowi Koziebrodzkiemu. Generał Picking bronił się zawzięcie w swoim taborze przez cały

dzień, oczekując posiłków, po które wyprawił gońców do generała Merveldta. W nocy nadchodziły te posiłki, ale tylko dwa szwadrony huzarów, pod komendą rotmistrza Czibó, które porucznik Zakrzewski w marszu z nienacka napadł, rozbił i wziął do niewoli. Od komendanta odebrał ekspedycje Merveldta do gen Pickinga z zawiadomieniem, że bez niebezpieczeństwa dla siebie większych posiłków mu posłać nie może.

Rano posłano parlamentarzy z wiadomością o zabraniu posiłkowego oddziału, na dowód pokazano zabrane papiery, a z wiadomością o nadciągających naszym posiłkach, wezwano gen. Pickinga do kapitulacji. Zaczęto parlamentować, ale jako pierwszy warunek żądał generał pozwolenia na wzięcie 100 konewek wody z pobliskiego stawu, gdyż odciętym od wody, po marszu i całodziennej bitwie w gorący dzień lipcowy, wojskom Pickinga, pragnienie okropne dokuczyło. Strzyżowski pozwolił dostarczyć wody; rada wojenna nieprzyjacielska oświadczyła jednak po długiej naradzie, że honor poddać się im nie pozwala, gdyż środki obrony nie są jeszcze wyczerpane. W rzeczywistości chcieli zyskać na czasie, i licząc na umęczenie naszych wojsk, w nocy cichaczem się wymknąć. Nasi jednak nie tracili czasu; ojciec poddał myśl, aby spędzić ludność wsi okolicznych, wzmocnić nią oddział kilkuset ochotników, przyprowadzony z Brzeżańskiego przez gorliwego patrjotę Szumlańskiego, i tak zaimprowizować zapowiedziane Pickingowi nasze posiłki. Nad wieczorem pokazały się za stawem, za wsią Wieniawką, na lekkiej pochyłości wzgórza w brzasku zachodzącego słońca, długie ciemne linje zbrojnych ludzi (chłopi z drągami), w liczbie kilku tysięcy; bliżej ustawiono oddział Szumlańskiego uzbrojony w broń palną a w interwałach 8 dział. (Kłody drzewa pomalowane smołą na czarno i wsadzone na przodki od wozów); między tą massą uwijali się konni. jakby ordynanse i adjutanci (kilkudziesięciu ułanów od-

komenderowanych dla utrzymania porządku i jakiego takiego szyku) wszystko to jednak wyglądało w zmroku wieczornym dosyć pokaźnie

Jak się tylko ściemniło, uderzyła nasza piechota na tabor, zapalając wozy gorejącemi wiechciami słomianemi; wojsko austrjackie wymykając się drugą stroną, zostało przywitane gwałtownym atakiem kawalerji i napowrót do taboru, w części już gorejącego, wparte. Wtedy generał Picking, moralnie złamany, zgłosił gotowość do kapitulacji. Nad ranem została ona zawartą; konie, broń, przybory i artylerja dostawały się w nasze ręce, oficerowie zatrzymali broń i bagaże, a żołnierze mieli być odprowadzeni pod naszą eskortą na austrjackie terytorjum, do Czerniowiec, z obowiązkiem, zabezpieczonym słowem honoru komendanta, że ani on, ani wojsko jego przez dwa miesiące przeciwko nam czynnem nie będzie. Dla nas było to ogromną korzyścią, bo kapitulacja nieprzyjaciela o $^1/_4$ od nas liczebnie silniejszego oczyszczała kraj zupełnie i dawała wolne ręce dalszej organizacji sił zbrojnych. Pod Wieniawką dowodził Strzyżewski, fortel demoralizujący nieprzyjaciela udanemi posiłkami, był przez ojca zaimprowizowany; gdy przyszło podpisać kapitulację, przybiegł z Trembowli pułkownik Rzyszczewski, który żadnej wtedy nie odegrał roli, aby powołując się na swą rangę, przed Strzyżewskim podpis swój na akcie kapitulacji położyć, a pałasz jenerała Pickinga jako trofeę do świątyni Sybilli w Puławach zawieść. Ojciec otrzymał za tę potyczkę złoty krzyż wojskowy, z młodszych oficerów otrzymali krzyże porucznicy: Roman Wybranowski i Zakrzewski; ale w nocnym ataku ubito pod ojcem konia, upadając gwałtownie, ciężko się potłukł i nabawił kalectwa, które go w trzy lata później do porzucenia służby czynnej zniewoliło.

Książę Józef osobnym pochlebnym listem ojcu sukcesu pod Wieniawką winszując, mianował go dowódzcą 8-go starego pułku ułanów, który pod Raszynem stracił

dowódzcę i bardzo ucierpiał, tak że nowozaciężni żołnierze ojca, którzy nowy pułk uformować mieli, zostali do skompletowania stanu czynnego 8-go pułku przeznaczeni. Trzeba było na gwałt starać się o mundury i rynsztunki, bo nowo zaciężny pułk, choć się bił doskonale, uzbrojony był dorywczo, a umontowanie pułku w ostatnich bitwach już mocno ucierpiało. Jaką gotówkę ojciec miał, wydał na pułk; składki w naturze dawano chętnie i obficie; z gotówką szło gorzej, bo pieniędzy w kraju był brak; skarb publiczny był pusty i ani mowy o tem nie było, żeby co mógł dać Musiał ojciec zaciągać długi na własny majątek i własną odpowiedzialność; wtedy przyszli mu w pomoc znaczniejszemi pożyczkami: pani kasztelanowa Bieńkowska ze Studzianki, pożyczając 60.000 złp., a czcigodny ojciec jej, Józef Horodyski z Kociubiniec 40 000 złp Strzyżewski zajął Monasterzyska, a ojciec okopał sie w Niżniowie, pilnując Merveldta, którego główna kwatera była wówczas w Tłumaczu. Merveldt mszcząc się za niepowodzenia, kazał chwytać w okolicy obywateli wybitniejszych jako podejrzanych o stosunki z nieprzyjacielem, z tych Kajetana Horodyskiego (syna Józefa z Kociubiniec) postawiono przed sąd wojenny i skazano na śmierć; wszelkie instancje odrzucono szorstko, a z błagań żony nawet się naigrawano Wieczorem, wilją dnia egzekucji dowiedział się o tem ojciec przez jednego z odważniejszych sąsiadów Tłumacza, tego samego wieczora zebrał 3 szwadrony i ruszył ku Tłumaczowi; nad ranem wpadł na austrjackie placówki, zniósł je i wziął do niewoli dwóch oficerów i kilkunastu żołnierzy. Odznaczył się tu porucznik Szawłowski, który cicho podszedłszy natarł gwałtownie i prawie bez strat wziął do niewoli grand-gardę austrjacką. Cofnąwszy się trochę, posłał ojciec parlamentarza do Merveldta, proponując zamianę jeńców za uwięzionych obywateli z dodatkiem, że jeśli generał K. Horodyskiego zdrowego nie odda, ojciec wszystkich jeńców natychmiast powiesić każe.

Kajetan Horodyski klęczał już przed plutonem egzekucyjnym, na cmentarzu w Tłumaczu, przeznaczonym na plac stracenia: gdy nadbiegł oficer z ułaskawieniem i uwolnieniem; te gwałtowne wzruszenia jednak, przez które przeszedł, dały się we znaki umysłowi jego na całe życie.

Mniej szczęśliwym był dzielny oficer, Jan Kopystyński, którego w sam dzień zawarcia zawieszenia broni, jednak przed jego ogłoszeniem, wzięto w niewolę na podjeździe. Jako dawniejszego oficera austrjackiego postawiono go przed sąd wojenny i skazano; a nasi go od śmierci uratować nie zdołali. Zginął, lekceważąc sobie śmierć, zwymyślawszy Merveldta i jego oficerów od ostatnich słów, stojąc na placu, w ostatniej chwili!

Napoleon zawarł pokój, poprzedzony zawieszeniem broni, nie zapytawszy się nawet przedstawicieli prowincyj i narodu o zdanie; rzucił napowrót prowincję, którąśmy sobie sami ofiarami tylu wysiłków męztwa, krwi i pieniędzy poniesionych ochoczo przez obywateli i wojsko nasze, bez pomocy żadnej wojsk i skarbu francuskiego zdobyli, w ręce mściwego, bo świeżo pobitego wroga. Za naszą krew kupił sobie drugą żonę. Niedziwota, że znaczna część obywateli ofiarnych w roku 1809, w roku 1814 dobrowolne składki na formację pułku przeciw Napoleonowi uchwaliła. — Pułk 8my ułanów, dostał rozkaz opuszczenia Czortkowskiego i wymarszu do Międzyrzecza później zmieniono rutę na Łomżę; sztab pułku stał wówczas w Tłustem. Ojciec zgromadził oficerów, w znacznej części członków rodzin obywatelskich, w okolicy osiadłych, ogłosił rozkaz, a zarazem dodał, że ma upoważnienie od naczelnego wodza, ofiarować każdemu z oficerów który by się o to zgłosił, translokację do pułków bliżej stacjonujących.

Ani jeden z oficerów nie skorzystał z tego pozwolenia; przeciwnie jednomyślnym porywem oświadczyli

demonstracyjnie, że pod komendą ojca pójdą wszędzie, gdzie dobro Ojczyzny i narodu tego wymagać będzie, choćby na koniec świata, a zaszczyt połączenia się z armją, pod bezpośrednim dowództwem ukochanego wodza naczelnego, księcia Józefa, nad wszelkie inne widoki przenoszą.

Gdy przyszło do wymarszu, prosiłem ojca, aby mi pozwolił wstąpić do pułku, miałem wówczas lat 14, ale byłem fizycznie nad wiek rozwinięty; ojciec się sprzeciwiał, bo chciał koniecznie, abym szkoły ukończył, ale jak tu było myśleć o książce, gdy szczęk broni rozlegał się wszędzie, opowiadania wojennych czynów egzaltowały głowy młodzieży, a patrjotyzm, w części i chęć odznaczenia się, nadzieja świetnej karjery, do służby w sławnej armji nęciły.

Ustąpił wreszcie ojciec ciągłym moim prośbom; zostałem wcielony jako prosty żołnierz do 8go pułku ułanów, i z lancą na ramieniu wyruszyłem dnia 3go września 1809 z Czortkowa wraz z pułkiem, w sile 450 koni ku Krakowowi, bo tam z resztą pułku mieliśmy się połączyć. W Nowemmieście i w Korczynie pod Krakowem, spotkaliśmy resztę pułku. Rożniecki, haniebnej później pamięci, wówczas wysoko ceniony generał, rodowity Podolanin, przyjmował nas; — w przemowie wyraził się, że w nas oprócz kolegów, poczciwych swoich współziomków wita, a mówił z serca, bo widziałem wtedy rzecz rzadką widziałem łzy radości i rozczulenia na jego zwykle tak zimnej nieruchomej twarzy. — Pułk uorganizował się na nowo, a kilku oficerów Tatarów z dawniejszego pułku ustąpiło miejsca naszym Podolanom, przenosząc się do innego pułku; zyskaliśmy na tem, bo owi Tatarzy, po największej części ludzie prości i mało zamożni lub zupełnie bez środków, a ucierpiawszy i potraciwszy dużo w ostatniej kampanji, potrzebowali pomocy, której pułk im dać nie mógł, spekulacyj zaś na furażu etc. ojciec żadną

miarą nie dopuszczał i przez palce na takie manipulacje patrzeć nie chciał.

Z Nowegomiasta ruszyliśmy ku Wiślicy, a że w miasteczku nie było stosownej kwatery, stanął sztab pułku we wsi, należącej do biskupstwa krakowskiego: Chrobrzy. Tam zebrała się po raz pierwszy przy mnie rada gospodarcza pułku. Była to piękna instytucja Napoleońska; należało do niej rozstrzygać o wszystkich sprawach obchodzących pułk, a reprezentowane w niej były wszystkie stopnie; podniosłem to było uczuciem dla żołnierza, że ma prawo wyrzec swoje zdanie publicznie i otwarcie w sprawach najważniejszych; miło było słuchać, miło wspomnieć jak głosy podoficerów i żołnierzy stanowiły, kto zasłużył na krzyż w ostatniej kampanji, a którą propozycję cofnąć należy. Jak śmiało, stanowczo i na jak logicznych, niewzruszonych zasadach odmawiali nadgród proponowanym oficerom, którzy na nie nie zasłużyli. Pamiętam wówczas jak kapral Dąbrowski nie dopuścił przedstawić do krzyża kuzyna mojej matki, kapitana Zapolskiego, pomimo usilnego poparcia majora Czarnieckiego.

Z Wiślicy pomaszerowaliśmy do Międzyrzecza a stamtąd niespodzianie wyprawiono nas do Łomży. Marsz ten odbywaliśmy w styczniu, zimno było dokuczliwe, a żołnierze nasi byli bez płaszczów, w które ich zarząd wojskowy jeszcze opatrzyć nie zdołał. Ja miałem płaszcz z dużym przypinanym kołnierzem (peleryną), odstąpiłem kołnierz żołnierzowi, memu pobocznikowi i tak zawiązała się pierwsza przyjaźń, której potem zawsze od żołnierzy doświadczałem.

Do Łomży przyszliśmy w czasie karnawału roku 1810. Przyjmowano nas jak ziomków wracających ze zwycięzkiej kampanji roku 1809. Prefekt departamentu Lassocki witał nas pod bramą tryumfalną na czele duchowieństwa, obywateli i gwardji narodowej; dano dla nas bal, na którym rozpoczęła tańce najpoważniejsza z dam

z prostym żołnierzem naszego pułku Lutostańskim; przy stole siedzieli oficerowie i reprezentanci podoficerów i żołnierzy na przemian z damami i dygnitarzami miejscowymi; tak to było wówczas w zwyczaju, a żołnierze nasi tak przejęci byli duchem szlacheckiej ambicji i honoru wojskowego, że najmniejszej nieprzyzwoitości nie popełniono, choć ku końcowi bankietu wszyscy potężnie byli pijani. Mimowolnie nasuwa mi się tu uparcie myśl, jak z gruntu fałszywą jest zasada, głoszona przez wielu, zwłaszcza austrjackich oficerów, że naszego żołnierza polskiego tylko grozą kary, grozą kija, w rygorze i subordynacji utrzymać można Niech posłuży za dowód wojsko nasze, francuzko-polskie z czasów Księztwa Warszawskiego: obowiązującem prawem był u nas kodeks wojenny francuzki, a artykuły wojskowe, pod któremi służyła stara gwardja Napoleona, były zastosowane do naszej młodzieży. Pod karą fortecy nie wolno było podoficerowi lub oficerowi dotknąć się żołnierza; oficer a nawet generał uważał po za służbą żołnierza za młodego kolegę, któremu otwartą stała droga do najwyższych dostojeństw. W służbie posłuch bezwzględny, a generałowie przykładem osobistym w boju dodawali ducha żołnierzom, podtrzymywali zawsze ducha honoru wojskowego; w publicznych miejscach, przy stole podoficer lub żołnierz czuł się podniesionym moralnie, widząc często swoich szefów obok siebie, odzywających się przyjaźnie, po koleżeńsku; dawało mu to otuchę, że czem oni dziś, on sam w niedługim czasie być może. Taki ustrój oświecał i działał skutecznie na rozwinięcie honorowych uczuć żołnierzy; łotrów i nikczemników nie cierpieli między sobą, składali sądy w kompanjach karząc występnych, a jeżeli to nie pomagało, prosili o wykluczenie jednostki, wstyd im przynoszącej. To też z uczuciem dumy wdziewało się mundur paradny przed rewją lub w dniu zapowiedzianej bitwy.

W skutek olbrzymiego ubytku w ludziach, podczas ostatnich kampanij, zaczynało jednak już wtedy do armji napływać dużo żywiołów nowych, niezdrowych; zrazu trzymali je dawni żołnierze na wodzy, lecz gdy i z góry zaczęto dawać przykłady demoralizujące, szczególniej przez wojskowych francuskich, późniejszej kreacji, bezczelnych często łotrów i wyzyskiwaczy, i naszego wojska duch ucierpiał; były to jednak zawsze tylko pojedyńcze wypadki, a nawet w najcięższych przejściach, całość armji naszej ani o karności ani o honorze nie zapominała.

Pierwszym wypadkiem zajścia między przełożonym a podwładnym, który się za mojej służby zdarzył, był właśnie po balu w Łomży. Kapitan Zapolski, cioteczny brat mojej matki, oficer dzielny, lecz niezmiernie gwałtowny, uderzył we froncie pałaszem wachmistrza swego, Baranowskiego. Od dłuższego więzienia fortecznego wybawiło kapitana tylko to, że wachmistrz przyjął polubowne zagodzenie sprawy, w formie przeproszenia przed frontem, a pomimo zagodzenia, ojciec podyktował szwagrowi dwumiesięczny ścisły areszt. Po przyjęciu w Łomży, stanął sztab z jednym szwadronem w Szczucinie, a reszta pułku została mniejszemi posterunkami rozstawioną, wzdłuż granicy rosyjskiej i pruskiej, gdyż ówczesny departament Łomżyński długim wązkim pasem między temi dwoma państwami się ciągnął, łącząc Królestwo z Augustowskiem. Służba była dość uciążliwa z powodu ciągłego patrolowania dniem i nocą.

Gdy nabyłem dostatecznej wprawy i znajomości służby praktycznej, odkomenderował mnie ojciec do szkoły inżynierji i artylerji w Warszawie.

W lutym 1810 rozpocząłem ten kurs, skorzystałem dosyć z wykładów matematycznych, lecz najwięcej czasu używano w szkole, aby nas dokładnie z musztrą piechoty, z musztrą i użyciem broni artylerji pouczyć.

W marcu 1811, zostałem przez ks. Józefa mianowany oficerem w dawnym moim pułku 8mym ułanów, było to zaraz po owym sławnym balu z 19 marca; ojciec przybył także wówczas do Warszawy; ruptura, której nabawił się w potyczce pod Wieniawką, ciężkie mu sprawiała cierpienia i przeszkadzała w pełnieniu służby, a nie mógł się zdecydować na ustąpienie ze służby czynnej. Do tego zaliczenia, jakie ojciec na formację pułku poczynił, dotychczas uregulowane nie były, i mało było nadziei, aby skarb to uczynił. Książę Józef widząc i wahanie się i zakłopotanie ojca, zaprosił go do siebie wraz z ks. Dominikiem Radziwiłłem, który do armji wstąpić pragnął.

Za pośrednictwem i namową księcia Józefa, stanęła wtedy umowa, że ojciec poda się o uwolnienie ze służby czynnej, ks. Radziwiłł dostanie nominację na pułkownika, obejmie pułk 8my ułanów, ale zapłaci panu Horodyskiemu, kasztelanowej Bieńkowskiej i innym drobniejsze sumy, jakie ojcu na formację pułku pożyczyli. Wróciwszy do pułku, zastałem już nowego komendanta i zostałem przydzielony do szwadronu kapitana Godzkiego, dawnego, wojskowego kolegi mojego ojca, ale starego, chorego, zgryźliwego śledziennika.

Czasy już były inne, sposób wojowania się zmienił, więc i wojskowo, mój kapitan był zupełnie niezdatny. Nieznośnem mu to było, że mnie, tak młodego wówczas oficera, jak mnie nazywał, smarkacza, przeznaczono na instruktora jego kompanji (szwadronu). On był dokuczliwy i zgryźliwy, ja prędki i zuchwały, nie mogliśmy się zgodzić na kwaterze, nota bene, byliśmy sami, w dwóch tylko, bo porucznik był adjutantem pułkowym, a starszy podporucznik odkomenderowany do magazynów pułkowych; rozmyślał tedy Godzki, jak mnie się pozbyć, przedstawił poufnie nowemu pułkownikowi, że ojciec zwierzył się jemu, jako dawnemu koledze, iż nie życzyłby sobie,

abym ja był teraz użyty w szwadronach, mających wystąpić na linję bojową, gdyż jestem za młody etc. etc.

Wszystko to Godzki po prostu zmyślił, lecz pułkownik, chcąc ojcu memu okazać swę życzliwość, sądził, że w jego myśl trafi i przeniósł mnie do 4-go szwadronu, który miał pozostać jako kadry rezerwowe pułku. Zrazu mi to było bardzo przykrem, lecz nie straciłem nic na tem, bo rezerwy jazdy stały w Poznaniu pod komendą generała Dąbrowskiego; tam miałem zaszczyt poznać i zbliżyć się do tego bohatera, będąc przy nim oficerem ordynansowym przez kilka tygodni.

Następnie byłem cztery razy z depeszami w Dreznie. Przez cały ten czas gdy ja dużo interesujących rzeczy widziałem i słyszałem, pułk mój stał ciągle na dawnych posterunkach, tłukąc się po dawnemu po nocnych patrolach bez oznaczonego celu. Godzki się mnie pozbył, ale mnie z tem dobrze było. Nowi moi przełożeni nabrali przekonania, że jako bojowy oficer zupełnie uzdolniony jestem i w kwietniu 1812 roku przeszedłem napowrót do szwadronów czynnych. Maszerując do Płocka, gdzieśmy się z pułkiem połączyć mieli, miałem sposobność poznać Gniezno i Toruń, te dawne kolebki naszego narodu, pełne pamiątek i wspomnień naszej sławy.

W kwietniu 1812 r. wyruszył pułk nasz ku granicy rosyjskiej. Sztab wyruszył z Płocka, zabierając po drodze rozlokowane pojedyńczo szwadrony, w miarę jak my posuwaliśmy się naprzód, następowała armja francuzka. W Nowem mieście nad Niemnem połączyliśmy się z 6-tym pułkiem ułanów, z którym przez całą kampanję roku 1812 tworzyliśmy jednę brygadę pod komendą generała Niemojowskiego. W Nowem mieście staliśmy przez trzy dni, po raz ostatni w tym roku w kwaterach. Trzeciego dnia po północy ruszyliśmy ku Niemnowi. Przed dojściem do rzeki spotkaliśmy armję francuzką, a już nad samym brzegiem Niemna sformowawszy się brygada nasza została wcieloną

do 1-go korpusu jazdy rezerwowej pod dowództwem generała Nansouty; do dywizji generała Bruliére, która składała się z ośmiu pułków, 7-my i 8-my huzarów oraz 16-ty szasserów francuskich, 9-ty pułk ułanów holenderskich, 2 pułki huzarów pruskich i nasze polskie 2 pułki ułanów. Generałami brygady w tej dywizji: Piret, Jaquinot, Roussel, Dourbel i Niemojowski.

Druga dywizja tego korpusu składała się z sześciu pułków kirasjerów pod dowództwem generała Jairmin. Chociaż policzeni do korpusu jazdy rezerwowej, objęliśmy zaraz awangardę armji. Staliśmy jeszcze nad brzegiem Niemna, gdy przyjechał przed nasz front cesarz Napoleon.

Na rzece nie było mostu, kazał naszej brygadzie szukać brodu; niedługo szukając trafiliśmy na miejsce, gdzie nie wiele płynąć trzeba było, przeszliśmy w bród, a za nami reszta dywizji; na drugim brzegu stanęliśmy zaraz w szyku bojowym, osłaniając budowę mostów i przeprawę armji. Do dnia wyruszylismy z kwater na czczo, cały dzień siedzieliśmy na koniach, a jak tylko część armji przeprawiła się, ruszyliśmy dalej nie karmiąc ani koni, ani ludzi. Już dniało gdyśmy pod jakiemś miasteczkiem stanęli na odpoczynek, czekając na rozdanie żywności i furażu z magazynów, o których nas zapewniano; ale magazyny te egzystowały tylko w raportach; brać sami żywności nie śmieliśmy i nie chcieli, i tak znowu ani my ani konie nic do gęby włożyć nie mieliśmy; a około dziesiątej nadleciał do nas Murat, król neapolitański: na koń! i dalej! Po drodze widzieliśmy już rozpasane rabunki Francuzów, a sami maszerowaliśmy znowu cały dzień o głodzie aż do późnej nocy, dotarłszy aż do wzgórz pod Wilnem.

Z musu, z potrzeby, zdecydowaliśmy się już furażować, ale Francuzi żwawiej od nas się uwinęli, a przed niezrabowanemi domami i spichlerzami, stawiali warty, niby to zajmując je na kwatery dla marszałków a w rzeczywistości oszukując nas, abyśmy z tych zapasów nieko-

rzystając, dla nich wyłącznie je zostawiali; dosyć że z naszych mało któren zdołał schwycić coś dla siebie i konia; to też przymieraliśmy prawie z głodu, ja przynajmniej z natury nie lubiący pchać się naprzód, a jeszcze skromniejszy, jako najmłodszy wiekiem oficer, przez trzy doby ani sam nic nie jadłem, ani koniom moim nic dać nie miałem. Do tego zabraniano nam i wody pić, z obawy dessenterji, bo był wielki czerwcowy upał. Trzeciego dnia po przejściu Niemna ruszyliśmy na wzgórza wileńskie. Dwie armatki, trzy szwadrony jazdy, i zwykła czerń kozaków, oto była siła, jaką Moskale krótką obronę Wilna demonstrowali. To też ze stratą tylko dwóch huzarów z 8go pułku podstąpiliśmy pod samo Wilno, nasza brygada na czele a za nami Cesarz z gwardjami. Kazano nam się przebrać, oczyścić i oczekiwać deputacyj, którą z miasta zapowiadano.

Reszta naszej dywizji poszła w pogoń za tą garstką kawalerji rosyjskiej; okrążając miasto, idąc na oślep, po drugiej stronie miasta na przedmieściu zwanym Antokol, na drodze wiodącej przez gęsty lasek, wpadli Francuzi nasi w zasadzkę, i straciwszy kilkudziesięciu ludzi, na Antokol się cofnęli

Oczekiwaliśmy deputacji z miasta, ta nie nadchodziła, wreszcie nad wieczorem, przysłano, prosząc o konie, gdyż konie jakie w mieście były, Moskale wszystkie zabrali z sobą. Przed wieczorem, ruszyliśmy wreszcie do miasta; nasz pułk jako dowodzony przez litewskiego magnata, w paradzie i z muzyką na czele. Nie widziałem oznak radości z naszego przybycia, ulice były prawie puste, domy i sklepy pozamykane; trochę młodzieży na ulicy i trochę uliczników biegło koło naszych koni, wołając: Vivat! Teraz rozumiem dobrze tę obawę i wstrzemięźliwość mieszkańców, lecz wówczas, ta rozsądna ostrożność, goryczą nas przejmowała, mimowoli porównywaliśmy ten głuchy pochód, z owacjami, jakie nas w innych

miastach polskich spotykały. Przechodząc przez Wilno spotkaliśmy pierwszy konwój rannych, byli to ludzie z naszej dywizji, ranni w owej zasadzce za Antokolem urządzonej.

Przeszedłszy Wilno, rozłożyliśmy się obozem na Antokolu, czekając jakich oznak sympatyj, a bodaj po prostu, nadesłania żywności od mieszkańców bratniego nam miasta. Czekaliśmy napróżno, daremnie! to nie pod Warszawą! Dopiero późnym wieczorem nadesłał nam książę pułkownik chleba i wódki, dla koni zaś musieliśmy się sami postarać o jaką taką żywność, żołnierze znaleźli siano na przedmieściu i to musieliśmy zabrać dla naszych koni. Kirasjerzy drugiej dywizji naszego korpusu, wprowadzili swe konie na łan zielonego żyta i zaczęli je spasać; na nasze uwagi i przestrogi, że konie swe strują, ledwie gdzie niektóry zwrócił uwagę i posłuchał, reszta ze zwykłą swą francuską zarozumiałością i uporem, przedrwiwała nasze przesądy. Tejże nocy padło im w skutek tego paszenia 111 koni, a dużo, ledwie z gwałtownych kolek odratować zdołano, ale do pochodu były chwilowo niezdatne. Konie luźne i bagaże, szły zawsze na końcu dywizji, zatem i mój służący nie poszedł z nami przez miasto, lecz okrążył je z drugą częścią dywizji, na przedmieściach przychwycił gdzieś ukryte powózki moskiewskie i przyprowadził mi dwie z nich do obozu obładowane owsem, herbatą, cukrem i innemi wiktuałami.

Jedną powózkę zachował sobie i od tego czasu jechał na niej, a konie moje prowadził inny żołnierz, mniej o moje dobro dbały, który je w kilka tygodni później dał sobie ukraść w obozie. Wieczorem jak przyszło ruszyć na grand-gardę kolej była po starszeństwie, więc daleką odemnie, jednego z najmłodszych oficerów, lecz w obozie posprzeczali się starsi oficerowie, którym się tego dnia odpoczynku stracić nie chciało z przeznaczającym kolej służby adjutantem-majorem. W sprzeczce odezwał się jeden z nich,

czemu to mnie do tej służby nie komenderuje; oburzony rzuconą tem odezwaniem insynuacją jakiejś niewłaściwej protekcji w służbie względem syna dawnego pułkownika, zgłosiłem się natychmiast sam na ochotnika, co mi znowu między kolegami i żołnierzami życzliwych przysporzyło. Na grand-gardzie znalazłem się sam jeden oficer z odziałem żołnierzy; gdy podług przepisów grand-garda powinna była składać się z najmniej stu ludzi z trzema oficerami i pod komendą oficera sztabowego; lecz w tych dniach lekceważono Moskali, nie przypuszczano możliwość niespodzianego napadu, więc zaniedbywano służbę bezpieczeństwa. Sztabowy oficer przeznaczony na komendanta grand-gardy, nawet nie wystąpił do niej, tylko przysłał mi przez ordynansa rozkaz, abym go zastąpił Nazajutrz wyruszyliśmy z pod Wilna, a wieczorem stanęliśmy nad brzegami Wilji; na noc znowu mnie wyprawiono na patrol z 15-ma ludźmi, zebranymi ze wszystkich pułków dywizji. Miałem lat 16, pierwszy raz byłem przed nieprzyjacielem z zadaniem trudnego nocnego rekonesansu, bo kazano mi pójść brzegiem Wilji, lasami i manowcami, sztabowy oficer oznaczył mi z mapy budy i chałupy w lasach, a na końcu wieś do której miałem dotrzeć i zrekognoskować. Na to dano mi kilkunastu ludzi zupełnie nieznajomych i mnie i pomiędzy sobą: byli Francuzi, Prusacy, Holendrzy, a tylko dwóch swoich, Polaków, podoficer dodany był Francuz, ani słowa innego języka nie rozumiejący. Dzień był gorący, wieczór parny; wybrałem się w lekkim mundurze, zostawiwszy płaszcz przytroczony do siodła drugiego konia. Na moję biedę zerwała się burza, deszcz lał jak z cebra; oślepiony, przemoczony do nitki, prawie na oślep jechałem, nie mogąc się obronić przed uczuciem pewnego lęku, bo już zorjentować się nie byłem w stanie. Dotarłem jednak szczęśliwie do owej zakazanej wioski; z powrotem już mi raźniej było, bo i zorjentowałem się i spotykałem już nasze patrole, później wysłane.

Dopełniwszy poruczonego mi zadania i odmeldowawszy się, położyłem się koło obozowego ogniska, aby trochę wypocząć i przemokłe odzienie o ile się da wysuszyć; nie czułem, spiąc twardo, że mnie ogień nadto przygrzewał, a obudziwszy się rano, jak się tylko ruszyłem, odzienie ze mnie obleciało, tylko w butach i w bieliźnie się znalazłem, sukno munduru zupełnie ztlało i w proch się rozsypało. Rankiem ruszyliśmy dalej, teraz furażu i żywności mieliśmy poddostatkiem, bo sami się o nie staraliśmy, nie oglądając się już na nic. Za furażowaniem wysełał pułkownik zwykle kapitana Inogrodzkiego, który miał do tego osobliwy spryt, tyle też nam żywności dostarczał, że pułkownik mając z sobą kucharza, wyborny dawał stół w obozie dla wszystkich oficerów pułku.

Moskali nie widzieliśmy przez trzy tygodnie, choć ścigaliśmy ich tylne straże, maszerując pospiesznie od rana do nocy. Na sześć mil przed miasteczkiem Byszynkowce, stanęliśmy na dwa dni do wypoczynku. Kapitan Inogrodzki pojechał naprzód do Byszynkowiec, tam natrafił niespodziewanie na większy oddział kozaków, oderwany od korpusu generała Bagrationa, i ci zabrali go w niewolę; jeden z jego żołnierzy zdołał się uratować i ten uwiadomił nas o tem co zaszło. Natychmiast wyprawiono kompanję kapitana Godzkiego, w której ja znowu służyłem (na nieszczęście znowu bez żadnych więcej oficerów chwilowo), aby dognać kozaków i starać się uwolnić Inogrodzkiego; wyruszywszy z obozu Godzki jechał z dobrą miną, lecz ujechawszy ze dwie mile, udał słabego i przyzostał z kilkunastoma żołnierzami w ostatniej wiosce przed Byszynkowcami, puszczając mnie samego z oddziałem.

Podszedłszy pod miasteczko, zostawiłem wachmistrza z jednym plutonem w rezerwie, a sam wpadłem do miasta. Kozaków nie zastałem, ścigać nie mogłem, bo dowiedziałem się, iż to była kupa nieregularna do żadnego od-

działu armji stale nie należąca, nie wiedzieć było, którędy się obrócili, którędy ich ścigać.

Przemaszerowałem przez miasteczko, usadowiłem się jakby na placówce, a uważając kapitana za nieobecnego, rozsełałem patrole na dwie mile w okolicę i zdawałem stosowne raporta do komendy pułku. Obywatele okoliczni zjeżdżali się do mojej placówki, fetowali serdecznie, to też gdy po dwóch nocach na koniu przepędzonych, a dniach spędzonych w przyjaźnej kompanji, trzeciej nocy, siedząc na koniu, nadejścia trzeciej dywizji oczekiwałem, zasnąłem na koniu tak twardo, że nadejścia wojska naszego nie słyszałem i dopiero oficer, idący w awangardzie z trudnością mnie obudzić zdołał Szliśmy tak, szukając nadaremnie armji moskiewskiej, a spotykając tylko małe oddziałki lub maroderów, aż do miasteczka Dzisna, położonego nad Dźwiną o 9 mil od Witebska; tam dopędziliśmy ariergardę Bagrationa, któren zdołał się wymknąć naszemu prawemu skrzydłu, dowodzonemu niedbale i niedołężnie przez króla Westfalskiego. Pierwszego dnia stanęła do boju tylko nasza lekka dywizja jazdy, skończyło się też tylko na rozpoznawaniu terenu; nazajutrz, gdy nadciągnęli kirysjerzy i nasi zaczęli silniej następować za Moskalami, kazano naszej brygadzie (charakterystyczne jako lekceważenie sił i życia swoich, a szczególnie naszych żołnierzy, przez generałów Napoleońskich w owej kampanji; w zarozumiałości swej sądzili, że im wszystko wolno, wszystko możliwe i wszystko uchodzi) Bóg wie, z jakiej racji, przejść wpław na drugą stronę Dźwiny; duży kawał płynęły nasze konie, ale dzięki Bogu, bez szwanku i nikt się nie utopił. Ledwie żeśmy zdołali stanąć po drugiej stronie, otrzymaliśmy rozkaz, powracania wpław, natychmiast W tym powrocie niebyliśmy już tak szczęśliwi, konie nasze osłabione zbytnim wysiłkiem, tonęły; z naszego pułku utonęło marnie 7miu, a z 6go pułku 11stu żołnierzy. Powróciwszy na lewy brzeg nie dano

nam nawet czasu z wody się otrząsnąć, kazano ruszać natychmiast do ataku Idziemy plutonami, lekkim kłusem pod górę, a tu widzimy, jak 16ty pułk szasserów francuskich, party przez moskiewskich dragonów, w nieładzie ucieka, a dragoni otoczyli już króla Neapolitańskiego wraz z jego świtą. Książę pułkownik każe rozwijać się pułkowi we front, do ataku; nie czeka, aż się manewr skończy, lecz rozgorączkowany, komenderuje: marsz! marsz! i sam wypuściwszy konia, nie oglądając się na pułk leci naprzód. Jak się wklinował w masę dragonów, znalazł się w okamgnieniu otoczony zbitym wałem ludzi i koni; ściskają go, walą się jeden przez drugiego, chcąc ściągnąć z konia, chwytając za szlify, za barki, bo tak ciasno, że broni użyć nie podobna; ale w tej krytycznej chwili pułk dobiega, impetem swoim rozbija w puch ten ogromny kłąb dragonji i w jednej chwili prawie oswobodziwszy naszego pułkownika i króla Neapolitańskiego, zaczęliśmy już łowić uciekających.

Był to pułk dragonów rygskich, dobrzy żołnierze, na wybornych koniach, wzięliśmy ich do niewoli trzysta kilkadziesiąt żołnierzy, kilkunastu oficerów i dwóch sztabsoficerów. Po wstąpieniu naszem na linję bojową, Moskale zaczęli się cofać i stanęli aż za miasteczkiem Ostrowno, gdzie my z jednej, a oni z drugiej strony nocowali. W nocy przyłączył się do nas pułk lekkiej piechoty francuzkiej a z artylerji mieliśmy z sobą 12 lekkich armat

Ostrowno oddalone jest od Witebska, jak to już mówiłem mil 6. Kraj bardzo lesisty, tak że droga do Witebska prawie ciągle w lesie, lub w pośród mniejszych lasków prowadzi. Król Neapolitański, który nami dowodził, jak pod Ostrownem zaangażował się, nie czekając na piechotę, tak i teraz mając tylko jeden pułk piechoty i ten zostawił w tyle, bo za nami nadążyć nie mogła i puścił się prawie po szalonemu na Witebsk

Moskale, wyzyskując rozumnie położenie, ciągle piechotą się osłaniali, a nasz dzielny wprawdzie, lecz do szaleństwa ambitny i lekkomyślny dowódzca parł ciągle dalej i dalej, nie oglądając się na swą piechotę, która daleko za nami zostawszy, żadną nam nie mogła być pomocą. Kirasjery szli w rezerwie, jedna brygada lekka asekurowała działa, a nasze trzy lekkie brygady pędziły przed sobą całą arjergardę rosyjską, walcząc cały dzień zajadle i z wysileniem. Zaraz rano pułk nasz rozbił czworobok piechoty tamującej nam drogę, rozbitych piechurów musieliśmy potem pojedyńczo wypędzać z krzaków; około godziny 11-ej przywitał nas na dużej polanie leśnej ustawiony drugi czworobok. Pułkownik nasz choć człek bardzo odważny i śmiały, tym razem miał dosyć pierwszego czworoboku, przyzostał przy szwadronach rezerwowych, a z nim i większa część oficerów. Nie dla miłości własnej, ale dla chwały moich walecznych kolegów, wymienię tu nazwiska tych, którzy i w tym ataku komendy swej nie porzucili. Adjutant pułkowy, porucznik Szawłowski prowadził pułk do szarży; pierwszym szwadronem dowodził nieporównany kapitan Berezowski, komendę drugiego szwadronu objąłem ja, trzeciego wachmistrz Owsiany, a czwartym dowodził pułkownik Stanowski. Po twardym boju rozgromiliśmy i ten czworobok. porucznik Szawłowski był mocno ranny, a ludzi rannych mnóstwo, choć zabitych dzięki Bogu było niewiele. Po rozbiciu tego czworoboku spieszono część brygady i rozsypano ją w lesie na flankiery (tyraljery) zamiast piechoty. Pod osłoną flankierów uszliśmy dobrą milę naprzód bez zbyt wielkich trudności. Moskale przyspieszali rajteradę; po południu opierała się piechota, zbijając się na drodze wśród lasu w małe kupy, gdyż miejsca nie było nawet na rozwinięcie i sformowanie się prawidłowe. Te kupy musieliśmy rozbijać pojedyńczemi szwadronami, jednę po drugiej, i trwała ta robota aż do wieczora. Choć najmłodszy z oficerów mego

szwadronu i wiekiem i rangą, przez cały dzień ten sam szwadron prowadziłem, kapitan Godzki okazał się do niczego, a tamci oficerowie nie dość przytomnymi się okazali, więc pułkownik mnie komendę objąć kazał, to też podczas dnia książę pułkownik ciągle ku mnie podjeżdżał, chwalił, zachęcał, otuchy dodawał i zachowanie się nasze do osobistej wiadomości cesarza podać obiecywał, mnie osobiście krzyż przyrzekając.

Wieczorem zatrzymaliśmy się o dwie mile od Witebska. Moskale około północy już wyruszyli z obozu, a my, rano wyruszywszy, podeszliśmy pod sam Witebsk, przed którym na wzgórzach, Moskale zajęli silną pozycję, zdawało się, że są zdecydowani przyjąć bitwę; zaczęła się już i nasza armja ściągać, przybył sam cesarz, kazał przed sobą wystąpić naszemu pułkowi, odbył przegląd, przemówił z pochwałami, nazwał z naciskiem i kilkakrotnie, najwaleczniejszymi z walecznych, i tak w rozkazie dziennym umieścić i w biuletynie armji wydrukować kazał.

Na płaszczyźnie przed wzgórzami Witebska zaczęło się rozwijać mnóstwo naszej kawalerji. Wzgórzami po prawej naszej stronie postępowała zwolna nasza piechota; Moskale otworzyli ze swoich pozycyj silny ogień działowy, a nas jako awangardę posunięto naprzód pod ogień działowy moskiewski, dotychczas zrozumieć nie mogę, w jakim celu; ze dwie godzin staliśmy tak bezczynnie, ostrzeliwani silnie kartaczami, póki nasza piechota i artylerja, Moskali z pozycji zepchnąć nie zdołały.

Obok mnie poległ wtedy pobocznik mój i kolega szkolny, sierżant Szczygielski, dzielny, honorowy człowiek, pełen hartu i zimnej, spokojnej odwagi; po batalji odszukałem go na pobojowisku, i zaniosłem z pomocą kolegów do chałupy, gdzie na prędce urządzono szpital; mówił zupełnie przytomnie, zdawało się, że żyć może i

będzie gdyby nie wnętrzności, które przez okropną ranę od armatniego pocisku, zupełnie z niego wypadły.

Wieczorem poszliśmy dalej, przeszli przez Witebsk, gdzie stanęła główna kwatera cesarska i obozowaliśmy na polu za miastem. Rano sformowawszy się, obliczyliśmy się; przed Ostrownem jeszcze liczył pułk nasz 450 głów z okładem; dziś znalazło się nas tylko 206 we froncie; to też z czterech, sformowaliśmy się we dwa szwadrony.

Pułkownik podał cesarzowi listę oficerów mających otrzymać krzyże; przez niedyskrecję dowiedziano się, kto był podany; wszczęły się swary, przytyki, i sceny zazdrości, szczególniej względem młodszych do tego odznaczenia zapronowanych; chcąc swary uśmierzyć i mieć spokojną głowę, pułkownik cofnął z głównej kwatery swoje pierwotne przedstawienie; a podał, że według słów samego cesarza, cały pułk odznaczył się w sposób niezwykły, nie może podawać pojedyńczych oficerów do nadgrody, bo wszyscy na nią zasłużyli, prosi zatem o nagrodę dla całego pułku. W odpowiedzi nieurzędowej, obiecano nam dać na pamiątkę, zdobyte pod Dzisną na dragonach rygskich sztandary, zmieniwszy godła, a na sztandarach dać krzyże; w nagrodę dla całego pułku Późniejsze wypadki i klęski, których wówczas nawet prawdopodobieństwa nie przypuszczano, zepchnęły w niepamięć tę daną nam obietnicę; mało kto zresztą z tych, co na odznaczenie zasłużyli, końca tej kampanji doczekał.

Z pod Witebska, po wypoczynku jednodniowym, mieliśmy ruszyć dalej, ciągle w pościgu za cofającym się nieprzyjacielem

Siedzieliśmy już na koniach do dalszego marszu gdy przyszedł rozkaz, by z pułku odkomenderować dwóch oficerów i 50 koni, na ordynans do głównej kwatery. Ks. pułkownik przeznaczył kapitana Grabowskiego, jako zdolnego, wykształconego oficera i mnie, mówiąc, że to w nagrodę mego odznaczenia się, mam być zbliżonym do

osoby cesarza. Pułk nasz poszedł z awangardą ku Smoleńskowi, ja z Grabowskim wróciliśmy do Witebska, podoficerów i żołnierzy rozprowadziliśmy między marszałków i ministrów, kapitan został przy marszałku Berthier, a ja przy gen. Caulaincourt. Stojąc kilka dni w Witebsku, przypatrzyłem się całej gwardji cesarskiej, włoskiej, korpusom Davoust'a, wicekróla włoskiego etc.; takich wojsk mój pradziad nie widział, a prawnuk mój widzieć nie będzie. (Nikt nie spodziewał się i nie przewidywał, do jakich rozmiarów liczebnych, w krótkim czasie, armje dójdą.)

Czwartej nocy rozmawiałem sobie z kapitanem Grabowskim, przychodzi żołnierz z wezwaniem dla mnie do Caulaincourt'a; idę tedy a przed drzwiami marszałka zastaję furgon, trzema końmi zaprzężony; wchodzę, marszałek daje mi rozkaz, abym posłał po moje siodło z mantelzakiem; daje depesze, 100 napoleondorów i powiada, żebym tym furgonem jechał natychmiast do Mińska, 75 mil, nakazując, abym jechał tym furgonem czy konno czy piechotą dopóki nie dotrę do miejsca, gdzie urządzoną jest poczta regularna, że depesze są bardzo ważne i głową odpowiem za spóźnienie. Tak tedy jak stałem, musiałem wyjechać, tylko z mantelzakiem, w którym zamiast efektów miałem siano; depesza była do Schwarzenberga z rozkazem aby nie łączył się z wielką armją, lecz aby obrócił się przeciw korpusom rosyjskim nadciągającym z Turcji. Temi chabetami francuzkiemi ujechałem z pół mili, potem wyprzągłszy jednego z nich i osiodławszy, na nim ujechałem spory kawał drogi, natrafiłem na wieś zaludnioną, wziąłem konie chłopskie i ujechawszy niemi ze trzy mile, znalazłem stację pocztową, wziąłem konie pocztowe i trzeciego dnia stanąłem w Mińsku.

Gubernator Mińska, generał Bronikowski, któremu się zameldowałem, powiedział mi, że książę Schwarzenberg sam zwrócił się już był z Nieświeża przeciwko Tor-

mansowowi i kazał mi do niego jechać, a widząc jak bieduję na powózkach pocztowych, ulitował się nademną i dał jakąś starą dorożkę; nie długo mi służyła, na pierwszej stacji musiałem ją porzucić, bo mi się rozleciała. Po przejściu przez Niemen pierwszy obiad zjadłem u generała, bo żyliśmy przez cały czas niedogotowaną strawą albo suchym chlebem, a przez czas podróży mojej, przez obawę spóźnienia się nigdzie się nie zatrzymywałem, zgryzłem tylko to, co mi na powózkę podano, chociaż kilka razy dziennie przejeżdżającemu po pod dwory szlacheckie, zachodziły drogę familje obywatelskie i zapraszały abym się czem posilił, lecz na parę chwil tylko przystawałem, a podziękowawszy poczciwym rodakom, spieszyłem dalej. Z jakiem uczuciem nas witano, niech objaśni ten fakt: Gdy wracając już od Schwarzenberga, jechałem razem z pułkownikiem Flahault, adjutantem podówczas marszałka Berthier, ten wydziwić się nie mógł zkąd ja mam tylu przyjaciół i znajomych na Litwie, gdy sam, jak to wiedział, byłem rodem z Galicji: nie mogło mu się w głowie pomieścić dlaczego ludzie, którzy mnie pierwszy raz widzieli, z tak serdecznem uczuciem mnie witali; on widział tylko serdeczne uściśnienia, łzy, pocałunki od mężczyzn, jak od kobiet, lecz słów ich, lecz znaczenia tego powitania nie rozumiał; nawet tłumaczenia mego prawie zrozumieć nie był w stanie.

Wyjechawszy z Mińska przed wieczorem, stanąłem nadedniem w Nieświeżu, gdzie zastałem tylko arjergardę austrjacką; gdy się meldowałem komendantowi, pułkownikowi od Aurel Chevauxlegerów, powiedział mi, że książę Schwarzenberg jest w Słonimie, a że te sześć mil drogi prowadzi przez same lasy, po których wałęsali się marodery, więc dał mi oficera i 24 szwoleżerów dla bezpieczeństwa, musiałem więc jechać z eskortą stępo, odpoczywać, i aż w nocy dociągnąłem do Słonima; książę Schwarzenberg już ruszał ku Kobryniowi, gdzie generał Régnier

dowodzący awangardą jego, złożoną z Sasów, poprzedniego dnia spotkał się był z Moskalami.

Książę Schwarzenberg wychodził już ze swojej kwatery; gdy mu oddałem depesze, kazał mi podać konia ze swojej stajni, abym jechał w jego świcie, a jako gościa, oddał mnie i polecił staraniu porucznika od ułanów hr. Clam Martinic (który był potem generał-adjutantem przy cesarzu Ferdynandzie, i na tem stanowisku umarł). Dano mi ordynansa i feld pocztę pod moje bagaże, (które nb. składały się z kulbaki z mantelzakiem wypchanym sianem).

Wyjechaliśmy za Kobryń, gdzie wojsko austrjackie zajęło pozycje; zaczęła się mała kanonada, a pułk Kaiserhuzarów szarżował na dragonów rosyjskich i zaraz w pierwszym momencie, komendant tego pułku, pułkownik Horvath zginął, Moskale zaś cofnęli się. Była to więcej demonstracja jak batalja, która trwała godzinę. Przyszliśmy do Prużan, główna kwatera stanęła w zamku Jadałem przy stole ks. Schwarzenberga z generalicją, reszta sztabu i świty jadała w drugim pokoju. Jeść i pić miałem dosyć, ale żebym miał gdzie się przespać, o to gospodarz mój nie dbał; wszyscy oficerowie patrzali na mnie jak na psa, dziwnie bo też między nimi wyglądałem; sztab złożony z magnatów, ludzi bogatych i elegantów, przy korpusie, który nie wojował, ani razu nie był w boju, manewrując tylko w pośród kraju dobrze zaludnionego, i będącego jakby wśród pokoju; ja, w wytartym mundurze, bez bielizny, bo miałem jednę tylko koszulę, tę, co na sobie. Przyjemniej mnie się robiło, jak się zjawił któren z oficerów awangardy, trochę więcej do mnie podobny, to też zaraz z nim się bratałem.

We trzy dni po moim przybyciu, przyjechał pułkownik Flahault i odtąd byłem jego stałym towarzyszem, lepiej mi było, bo i sypiałem z nim i miałem protektora. Nakazał mi dowiadywać się przez Polaków, w służbie austrjackiej będących, o duchu, jaki w korpusie panuje

Rozmawiałem z wielu oficerami, między innymi z Kicińskim, oficerem Kirysjerów (który się przeniósł do naszych wojsk i pod Możajskiem zginął); ten i inni zapewniali mnie, że korpus austrjacki wrogo jest usposobiony dla Napoleona; powiedziałem to pułkownikowi Flahault a w krótkim czasie on sam osobiście miał sposobność przekonać się o tem, bo miał w oczach samego Schwarzenberga nader niemiłe zajście i kłótnię z rotmistrzem od ułanów, adjutantem i faworytem Schwarzenberga. Rotmistrz został wprawdzie natychmiast aresztowany i przez dwa dni naszego pobytu w kwaterze Schwarzenberga nie widzieliśmy go więcej. Poznałem się z oficerem od Kaiser-huzarów, który wyjeżdżał z depeszami do Lwowa, dałem mu list do rodziców; poczciwy Węgier odwiózł list ten osobiście rodzicom, aż na wieś, do Głęboczka, gdzie ojciec wówczas mieszkał.

Po kilkudniowym czekaniu tedy, doręczył mi książę Schwarzenberg depesze i 120 dukatów na drogę które przyjąłem, bo mnie generał Bronikowski wyśmiał, że, jak mi dawał pieniądze, ja podziękowałem, mówiąc: że nie potrzebuję; było nawet istotnie tak, nie potrzebowałem, bo nawet przepłacając, za pieniądze nic dostać nie było mo żna, tak wszystko Francuzi darmo zabierali. Generał Bronikowski wręcz mi powiedział, że głupi ten, co nie bierze, gdy uczciwie wziąć może, co mu ofiarują.

Ruszyliśmy razem z pułkownikiem Flahault oso bnemi powózkami ku Smoleńskowi, gdzieśmy przybyli w wilję dnia szturmu; oddałem depesze marszałkowi Caulaincourt, chciałem mu zdawać rachunek i oddać resztę pieniędzy; tych nie chciał przyjąć, mówiąc: że nie ma czasu się rachować Kazał mi nadal pozostać przy sobie, lecz po kilku dniach, używając różnych instancyj, udało mi się uzyskać pozwolenie powrotu do pułku. Przybywszy do regimentu, dowiedziałem się, że kapitan Grabowski, maszerując od głównej kwatery do pułku, został napa-

dnięty przez znaczny oddział kozaków, bronił się jak mógł najdłużej, aby obronić bagaże, które miał przy sobie z całej brygady i co chciwość a więc i kuraż kozaków głównie pobudzało, ale z kilkunastoma niedobitkami dostał się do niewoli. Mego człowieka nikt w pułku od tego czasu nie widział, nie mogąc go odszukać, miałem za przepadłego wraz z rzeczami i końmi, a tu już czwarty tydzień tę samę na grzbiecie nosiłem koszulę; siadłem na konia Godzkiego, tego raniono podemną, gdym spędzał tyraljerów moskiewskich, kryjących się po przekopach, przesiadłem się na konia żołnierskiego. Flankierując, spotkałem generała Sokolnickiego piechotą, bo konia pod nim ubito; ofiarowałem mu mego; konia kazałem przesiodłać a sam siadłem na pierwszego lepszego, który się nawinął i pozostałem w ogniu na flankierach aż do wieczora. Tego dnia generał Wincenty Krasiński tak nam spoił księcia pułkownika że leżeli obadwaj na ziemi bez duszy. Pod Smoleńskiem zobaczyliśmy się pierwszy raz z korpusem księcia Józefa Poniatowskiego, który stanął na prawem naszem skrzydle, opierając się o Dniepr. W oczach naszych piechota tego korpusu szła do szturmu; wieczorem ustała kanonada, przedmieścia się paliły, w nocy śliczny był widok jak płomienie z palących się po obydwóch stronach przedmieść w górze po nad fortecą się łączyły, która w tem oświetleniu wyglądała jak w ognistej koronie. Do dnia cesarz i gwardje weszły do opuszczonego przez Moskali Smoleńska, a my obszedłszy miasto, idąc przez palące się jeszcze przedmieścia, ruszyliśmy w bród przez Dniepr, który tam jest dosyć płytki i dalej kłusem za Moskalami, których o dwadzieścia wiorst pod Valentino dopędziliśmy. Tego dnia znowu byłem na flankierach, przykrą mieliśmy robotę, wypędzając tyraljerów moskiewskich z wysokiego zboża; tutaj dotrzymywali oni już placu i bronili się z ogromną zawziętością, prawie z wściekłością, posuniętą do tego stopnia, że wielu z pomiędzy Mo-

skali, choć wiedzieli na pewno, że ich za to śmierć niechybna czeka. przepuszczali nas, przyczajając się w zbożu i dopiero z tyłu do nas strzelali; byliśmy tam parę godzin w bardzo przykrem położeniu, bo z powodu bezczynności Junot'a z Westfalczykami, my, korpus jego przeciw przeważnym siłom moskiewskim zastąpić musieliliśmy, ustawiając nasze szwadrony w dwóch frontach bojowych, tak, że te dwie partje tyłami do siebie były zwrócone.

Dla objaśnienia opowiem wkrótce, że pod Valentino schodzą się trzy drogi, temi drogami szły trzy korpusy moskiewskie; przeciwko każdemu z nich postawiony był korpus armji naszej: Moskale szli bocznemi drogami, my zaś bliższą, prostą i tym sposobem odcinaliśmy dwa korpusy rosyjskie od trzeciego, dlatego był to manewr bardzo ważny i doniosły; korpus Junot'a nie stanął na przeznaczonej sobie pozycji, więc my musieliśmy, dzieląc swoje siły, jego na tych pozycjach zastąpić. Mordercza tam była walka, trupów piechoty pełne były wertepy, których tam jest nie mało Ostatecznie Moskale cofnęli się, a my stanęliśmy na pobojowisku na nocleg; staliśmy tam i drugiego dnia; korzystałem z tego czasu, aby się trochę oczyścić, 6 tygodni koszuli i munduru nie zdejmowałem, łatwo można sobie wyobrazić jak bielizna moja wyglądała; to też gdy usiadłszy za krzakiem, zdjąłem koszulę, aby ją z nędzy oczyścić, spostrzegł to porucznik Szawłowski i dał mi zaraz swoją, czystą. Mało ludzi dobrze zrozumie jaką czasem roskosz może sprawić czysta koszula.

Dniem później zjawił się mój człowiek z rzeczami mojemi i z jednym koniem, bo drugiego mu ukradli; dopiero mogłem przebrać się zupełnie i siadłem na mego poczciwego skarogniadego konika; dobry to był koń! silny, zdrowy, pewny i niezmiernie wytrwały

Dopiero od Smoleńska zaczęła się na dobre nasza ciężka praca, a co gorzej okropna nędza; nie mieliśmy ani chleba, ani nawet trochę soli, żeby okrasić mięso, które my, w awangardzie, mieliśmy wprawdzie; lecz reszta armji, żywiła się już mięsem końskiem po większej części. Człowieka, miejscowego mieszkańca nigdzie się nie spotykało; za furażem trzeba było daleko na boki posełać, dostawało się z niezmiernym trudem trochę snopów siana a czasem tylko słomy dla koni. Często po bitwie, cały dzień do późnej nocy trwającej, konie objadały baraki, zostawione przez Moskali, bo nie było czasu za furażem posełać. Z naszemi sługami i furażerami rzadko kiedy widywaliśmy się, bo ci pilnowali więcej rabunku na swoję rękę, jak dostarczania nam żywności, furażerom trzeba było to łajdactwo tolerować i nie zmieniać, to choć coś czasem który przywiózł, a jak spodziewał się, lub podejrzywał, że go zmienią, to już więcej się przy pułku i nie pokazał; w ten sposób formowała się ta podła zgraja tak zwanych maroderów. Furażerami nazywam ja podoficera i kilku żołnierzy, których się wysełało dla wyszukania i sprowadzenia żywności dla ludzi, bo za tem trzeba było posełać daleko na boki i wielkiego przemysłu używać, aby coś dostać; za furażem dla koni jeździliśmy oddziałami kolejno Ze świtem każdego dnia siadaliśmy na koń; Moskale bronili zacięcie każdej piędzi ziemi, przy każdej strudze brali pozycję; okryci dymem palących się wiosek i karczem, odbywali rejteradę, a my, ustawicznie musieliśmy szukać przeprawy przez błotka i rzeczki, których tam jest bardzo dużo; tak, że często od świtu do późnej nocy siedząc na koniach, ledwie o pół mili zdołaliśmy się naprzód posunąć; takiemi drogami, taką pracą i głodem, najwięcej traciliśmy koni, ludzi dużo się spieszało, i ci pomnażali liczbę maroderów: mniej daleko traciliśmy od broni nieprzyjaciół, któremu jednak i my niewielką szkodę wyrządzaliśmy, chyba przez tych kilkunastu jeńców, którzy codziennie w nasze wpadali ręce.

Wszystkie wsie i budynki przed nami palili Moskale. Kilka dni było takich, że i po bokach wsie się paliły; między żołnierzami krążyła wieść, że to cesarz oddając Moskalom piękne za nadobne, kazał żandarmerji obozowej palić wsie po bokach położone; faktem historycznym jest jednak, że to ludność sama, sfanatyzowana i zastraszona przez popów i agitatorów, własne siedziby podpalała, chroniąc się z dobytkiem w lasy, jak podczas najazdów Tatarów i Mongołów. Chłopi łączyli się w bandy, które po bokach armji wraz z kozakami krążyły, podczas marszu i zbliżania się naszego do Moskwy; a gdzie się tylko dało, żołnierzy i maroderów naszych wybijały. Kilka stacyj poczty wojskowej, które między Moskwą a Smoleńskiem umieszczone były w opalisadowanych budynkach lub okólnikach z załogą jednej kompanji piechoty i 16tu jezdnych napadli, zdobyli i w pień wycięli; nam samym trafiało się, że chodząc za furażem, napotykaliśmy w lasach mieszkańców wsi okolicznych, obwarowanych wraz z dobytkiem zasiekami, które szturmem zdobywać byliśmy zmuszeni.

Ruszywszy z pod Valentino, w parę dni marszu zastaliśmy Moskali w pozycji o milę pod Drohobużą; awangarda nasza zatrzymała się czekając nadejścia armji; płynie tam jakaś rzeka, której nazwiska nie pomnę, za tę rzekę wyprawiono nasz szwadron, dla rozpoznania nieprzyjaciela; stanęliśmy na błoniu, pod pasieką; Godzki komenderował szwadronem, wysłał podporucznika Brześciańskiego na flankiery, a mnie z plutonem w jego asekuracji, bo zaczęli się pokazywać kozacy, flankiery oddziału, którego widzieć nie mogliśmy, bo był ukryty za górą; nasi flankiery posuwali się naprzód, a ja za niemi zwolna, bo mi widocznem było, że kozacy umyślnie za sobą pociągają! Godzki z resztą szwadronu za nami nie postępował, tak żeśmy go wreszcie z oczu stracili.

Brześciański widząc, że się flankierzy moskiewscy zgęszczają, rozkazał mi (jako rangą starszy) objąć dowództwo flankierów, a sam pojechał z raportem i po rozkaz co ma dalej robić; poznałem od razu że stchórzył, bo jako starszy i komendant nie powinien był opuszczać oddziału już też i więcej się nie pokazał. Zostawiłem tedy mój pluton w assekuracji pod komendą sierżanta Wieluńskiego, a sam objąłem komendę flankierów; manewrując tak z godzinę, widzę że kozaków coraz więcej przybywa, wziąłem kilku żołnierzy ze skrzydła, a uważając że szczyt góry blizko, poskoczyłem naprzód i zobaczyłem kilka szwadronów jazdy podchodzących pod górę, aby nas tym sposobem oskrzydlić i zabrać; gdym powracał do swoich, kula mi u prawej nogi mięso przedarła; nie zważałem jednak na to, Wieluński podbiegł do mnie, obradziliśmy się szybko, i rozpuściwszy obydwa plutony na flankiery, aby szersze miejsce zająć, rozpoczęliśmy odwrót dwoma linjami, stępo, z wielkim oporem bo nie można było inaczej, nie chcąc dopuścić bezładnej ucieczki. Tu podemną mego poczciwego skarogniadego zabito, siadłem na innego konia a żołnierz mi szmatą nogę okręcił, aby krew zatamować; tak manewrowałem z pół mili, aż spotkałem kapitana Zapolskiego, który odszedłszy od Godzkiego z 1000 kroków, stał ukryty za pagórkiem, niby mnie assekurując; Moskale zobaczywszy ten oddział, zatrzymali się. Gdyśmy wrócili do obozu żołnierze narobili krzyku, że byli opuszczeni od kapitanów, od komendanta i że mnie tylko winni swój ratunek; podniesiono ten wypadek i od tego dnia kapitan Godzki i podporucznik Brześciański służyć przestali.

Wieczorem chirurg opatrzył moję ranę, a że była lekka, wsiadłem napowrót na konia, od tego dnia jednak, niestety, nie miałem już własnego, trzeba było brać pierwszego lepszego, jaki się trafił; kawalerzysta rozumie co to znaczy, w ciągłej służbie, codziennie w ogniu nieprzyjaciel-

skim, nie mieć swojego konia. Nocowaliśmy w tem samem miejscu. Po nadejściu armji, rano stanęła nasza jazda na błoniu, brygada, w której służyłem, była w pierwszej linji, 24 armat ostrzeliwało nas ciągle a gęste flankiery ciągle nas droczyli. Książę pułkownik napierał się cały dzień szarży na te armaty, ale brygadjer generał Rouseille, który po rannym pod Witebskiem generale Niemojowskim objął dowództwo naszej brygady, połączonej z pruskimi huzarami, nie dopuszczał tego; ale po południu, nie wiem dlaczego i w jaki sposób król neapolitański zezwolił; poszliśmy tedy do szarży, ale zastaliśmy armaty przegrodzone od nas bystrą, z wysokiemi brzegami rzeką, o której dowódzcy nasi nie wiedzieli; my ponieśliśmy straty mniej dotkliwe, a pruskie huzary, idący za nami, stracili od jednego kartaczowego strzału majora, 27 ludzi i 43 koni; prowadzący nasze lewe skrzydło oficer, przytomny człowiek, rzucił się z najbliższym siebie oddziałem, bez komendy, na lewo, za niewielki pagórek, całą brygadę za sobą pociągnął i ochronił od zguby

Na tem miejscu stanęliśmy na noc; byłem na grandgardzie, tak blisko Moskali że z placówek słyszałem rozmowę w ich obozie. Ale trzeba przyznać generałom Napoleona, doświadczonym wojownikom, że w podobnych pozycjach, nie spuszczali się na placówki i warty obozowe, lecz jeden za drugim objeżdżał wedety; koło północy król Neapolitański przyjechał do mojej placówki, niezwykła cichość panująca od niedawna w moskiewskim obozie, na którą zwróciłem jego uwagę, uderzyła go, kazał mi z placówką pójść naprzód, dotarłszy do ogniów moskiewskich, nie zastałem już nikogo. Przeszliśmy przez puste Drohobuże żołnierze nasi wyszperali tam wódkę, nalewką zwaną, którą jednak tylko łakomsi pili, bo ogół, nie znając tej wódki, bał się zatrucia, chociaż był to czas, w którym pożeraliśmy ledwie przypieczone mięso osolone prochem, a zamiast chleba ziarno całe, w wodzie zagotowane.

Ruszyliśmy ku Wiaźmie, zwyczajnym, jak to powyżej opisywałem sposobem; nic tam nie zaszło godnego szczególnej uwagi tylko nadarzyła się nam sposobność zaopatrzyć się w sól, której brak tak mocno dawał nam się uczuć. Przybyliśmy pod Możajsk, do wsi Borodino; tego dnia 6ty pułk ułanów był w pierwszej linji, staliśmy uszykowani w schody (échelons); dragoni moskiewscy zaatakowali 6ty pułk, było to na suchej roli, ogromny, gęsty tuman kurzu rozbity końskiemi kopytami, zasłonił nas zupełnie, Moskale nie widząc nas nacierali na 6ty pułk, który się cofał umyślnie; my daliśmy się minąć, a potem nagle, wziąwszy lewe skrzydło „naprzód!“ jak nie wypadniemy z boku i z tyłu, djableśmy ich strzepali! Przy jednym majorze dragonów przyzostał porucznik Strzembosz i wodził się z nim; porucznik Stanowski rugował go, że porzucił szereg, przyszło do gorżkich przymówek, a w skutek tego do pojedynku między nimi

Po tej nocnej szarży zeszliśmy za lasek na dolinę i ujrzeliśmy idący już kłusem na nas pułk jazdy, zupełnie podobny do dragonów, których dopiero co rozbiliśmy. (Teraz pułki nasze stały w kolumnach, jeden za drugim, dopiero brygady w schody były ustawione). Mazury 6go pułku rozzuchwaleni świeżym tryumfem, tak sobie lekceważyli tego nieprzyjaciela, że przyjęli go stępą, dopuściwszy na końce lanc; aż tu lance zamiast leźć w dragona, oparły się na kirysach; nasze Mazury dawaj w nogi! wpadli na nas, zepchnęli, my z niemi złamali pruskich huzarów i dopiero druga brygada w schodach stojąca, poskoczywszy, atak kirysjerów sparła i wstrzymała. Wstyd nam było okrutnie, bo właśnie książę Józef, któren nas przez całą wojnę dotychczas nie widział wtenczas tamtędy przejeżdżał.

Po odparciu kirysjerów, stanęliśmy w tem samem miejscu, w assekuracji armat, z lewej strony z za płotów dochodziły do nas gęsto kule karabinowe, jedną z nich

ugodzony, padł o trzy kroki przedemną jeden z najdzielniejszych oficerów naszych, męczennik kryminałów lwowskich z czasów powstania Denyski, kapitan Berezowski; cały pułk dotknięty był, formalnie przerażony jego stratą; ja sam osobiście za nikim tak nie żałowałem jak za nim.

Dopóki on żył, byłem pewny najlepszej rady i pomocy, każdym kawałkiem dzielił się ze mną; gdy płaszcz straciłem; on dał mi swój; prawie wszyscy oficerowie wyjechali z frontu, by go pożegnać i pochować ciało jego, ja jednak poczuwałem się do obowiązku pozostać we froncie z żołnierzami, bo ogień armatni był bardzo silny i dokuczliwy, a i karabinowy był gęsty, nie chciałem żeby się w żołnierzach wzbudziło podejrzenie, że wszyscy oficerowie korzystają z tego pretekstu, aby się choć na jakiś czas z tych gorących opałów usunąć. Tego dnia staliśmy w miejscu i w ogniu do późnej nocy na koniach; ku wieczorowi zaczęli nas Moskale rakietami ostrzeliwać, ale bez wielkiego skutku. Następny dzień był dniem odpoczynku i przygotowaniem do wielkiej batalji pod Możajskiem. Podaliśmy wykazy rzeczywistego stanu wojska; po zebraniu i wstąpieniu do frontu przybyłych z rezerwy żołnierzy, oraz i tych, którzy różnemi sposobami o konie się wystarali i go liwością swoją w szeregach stanąć zdołali, było nas w pułku ogółem 220 ludzi i 13 oficerów z podpułkownikiem Obuchem na czele. Książę pułkownik zachorował na silne zapalenie oczu i od Valentino nie był przy pułku; podpułkownik Czarnecki i kilku innych oficerów ciągnęło z tyłu przy pułkowniku pod pozorem słabości; oprócz tych brakowali we froncie kapitanowie: Kijański i Koźmiński, bo ci od początku wojny trudnili się przemysłem rabunku.

W dzień wielkiej batalji, przed wschodem słońca jeszcze, zaprosił nas, kilku kolegów porucznik Szawłowski na pożegnalne śniadanie, mówiąc iż ma przeczucie, że to ostatni dzień jego życia, że dziś zginie; w chwil kilka

później byliśmy już na koniach i ruszyliśmy po pod lasek, na pochyłości wzgórza będący a pomiędzy wzgórzem a baterją odebraną Moskalom, którą zająć miała nasza artylerja gwardji.

Z lasku piechota wypędzała piechotę a my oczyszczaliśmy pole; przyjęto nas rzęsistym ogniem kartaczawym, a z lasku i karabinowe kule do nas dochodziły; w pierwszych zaraz chwilach przedarła kula karabinowa Obuchowi czapkę ułańską; krzycząc że ranny, poleciał cwałem w tył; pod kapitanem Zapolskim ubito konia, a ten nie chciał wsiąść na innego, i tak ujrzał się pułk o wschodzie słońca pod komendą porucznika Stanowskiego o 7-miu oficerach, a byliśmy dnia tego sami, zupełnie oddzielnie działający, bo reszta dywizji poszła z prawej strony lasku. Ostatecznie spędziliśmy nieprzyjaciela a jak tylko miejsce było oczyszczone, zatoczyła natychmiast artylerja starej gwardji cesarskiej, ubrana w pełnej paradzie, 24 dział ciężkiego kalibru na rzeczoną baterję; my zeszliśmy na dół przed nią w asekurację, bo nieprzyjaciel był bardzo blizko; przez kilka godzin znosiliśmy ogromny ogień, dostawały się nam i kule pełne i granaty i kartaczowe strzały. Porucznik Szawłowski dostał w piersi kartaczami; porucznicy: Putiatycki i Starorypiński ciężko ranni; po trzech ludzi od razu wyrywały nam kule z frontu, a od huku naszych własnych dział konie nam zrazu klękały, później tak byliśmy ogłuszeni, otumanieni, zobojętnieli, że bez wzruszenia liczyliśmy na to, iż żaden z nas już ztamtąd nie wyjdzie; doskonale pamiętam jak zupełnie obojętnie czekałem na kolej, kiedy mnie kula zabierze, choć z razu gęsto się oglądałem, czy nie ujrzę naszego generała, aby nas z tego piekła wyprowadził. Z południa odsunął się nieprzyjaciel, wyszliśmy na flankiery; granat, zarywszy się w mokrą ziemię pod mojego konia i mnie i konia wywrócił, lecz wstaliśmy oba bez szwanku.

Przed wieczorem, już ku końcowi batalji, kazano nam przejść kłusem na lewo, na trakt, dla objęcia awangardy. Przechodząc na to stanowisko, traciliśmy ludzi od pocisków działowych i natrafiliśmy na chwilę, gdy moskiewscy kirysjerzy, rozwijali się do szarży na naszę baterję; wicekról włoski dał nam rozkaz, żeby ich odeprzeć, lecz widząc, jak liczebnie słabi jesteśmy, wsparł nas bataljonem grenadjerów, którzy przypuściwszy nieprzyjacielską konnicę na 50 kroków dopiero dali ognia z potężnym skutkiem, bo zamięszanie i dużą stratę nieprzyjacielowi wyrządziwszy, dali nam możność wysunąć się, rozbić ich do reszty i wziąć w niewolę rannego podpułkownika, dwóch oficerów i kilkudziesięciu żołnierzy. To spotkanie zakończyło batalję. Przed naszym frontem, wieczorem ściągnęła cała nasza dywizja na pozycje przez pułk 8my zajęte; stanęliśmy wszyscy na pobojowisku gęsto trupami zasłanem; ten jeden raz podczas całej tej morderczej kampanji trafiło mi się tak nocować; żołnierze, śmiertelnie zmęczeni ledwie że trupy od koni odciągali, kładąc się pomiędzy nich i na nie, szukali we śnie trochę pokrzepienia, bo tej nocy, ani my, ani konie, nic w gębie nie mieliśmy, nawet ognia nie było z czego rozłożyć.

Do dnia ruszyliśmy pod same miasto Możajsk; tu obliczyliśmy się; z całego pułku zostało 52ch żołnierzy i 5ciu oficerów, to jest: porucznik Stanowski i Strzembosz, podporucznicy: Borysławski, ja i Niezabitowski, któren właśnie tego ranka do pułku przybył. Tego dnia nie byliśmy czynni nocowaliśmy pod Możajskiem, lecz tej nocy zawitał po raz pierwszy nieproszony, srogi gość, mróz; pierwszy raz nie można było uleżeć na gołej ziemi, z powodu zamrozi Król Neapolitański, widząc jak nasz korpus okropnie ucierpiał, chciał mu trochę dać wytchnąć i posłał na nasze miejsce, t. j. na awangardę, korpus generała de Latour Maubourg. Korpus ten liczył w swoim składzie te polskie pułki, które już były spłoszone pod Mirem,

mianowicie: 3ci, 7my i 16ty pułk ułanów. Poszli tedy przodem, lecz my niedługo cieszyliśmy się względnym odpoczynkiem, bo o milę za Możajskiem koło jakiegoś Monasteru, który nasi, nie wiem czy prawdziwie, mienili Rożdestwom, kawalerja moskiewska natarła na pułki Latour Maubourg'a, które szkaradnie pierzchnęły. Nie wiem, jak się to stało, jaka temu była przyczyna; ale opowiadano, że król Neapolitański z wściekłością rzucił kapelusz o ziemię i wykrzyknął: to są chyba innej matki dzieci. Posłał natychmiast po naszę dywizję; mijaliśmy kłusem i galopem różne oddziały wojsk i znowu objęliśmy awangardę, ale spokojnie maszerowaliśmy aż do Moskwy; o dwie mile od tego miasta natrafiliśmy na mocną i obwarowaną silnie pozycję, lecz opuszczoną, tu było już widać rejteradą umyślną, z planu.

Wieczorem stanęliśmy pod miastem Moskwą; w pośród przedmiejskich ogrodów roskoszowaliśmy się, piekąc kartofle i gotując kartofle z mięsem, lecz chleba jeszcze nie mieliśmy. W bramach miasta stała mocna straż gwardji i nikogo nie przepuszczała. Cesarz nocował w letnim carskim pałacyku, niedaleko od nas. Do dnia weszła piechota do miasta, kawalerja ruszyła po za miasto, oczyszczając przedmieścia, a nasza dywizja ruszyła dopiero około południa, ciągnąc przez środek miasta z dobytą bronią. Ludności miejscowej nie widać było zupełnie; w otwartych siłą sklepach gospodarowała piechota; nam z koni zsiadać zakazano, żeby jak najprędzej stanąć za miastem w awangardzie; maszerując widzieliśmy już w kilku punktach miasta wybuchający ogień; przechodzącym kawalerzystom podawała piechota najrozmaitsze wiktuały, chwytał każdy co mógł złapać; w przejeździe dostał się mnie woreczek z rodzynkami i daktylami, który mi podał żołnierz od piechoty na długiej ulicy wśród sklepów korzennych; zjawił się także między nami poczciwy kolega, żołnierz z gwardji ułanów Krasińskiego, wiozący na wózku beczkę

wina, sam stał nad nią z lewaczem w ręku i kto się zgłosił, dawał się napić. Pociągnąłem i ja dobrze tego wina i z razu nic nie czułem, lecz gdy wyszedłszy za miasto, stanęliśmy obozem, tak mnie to wino rozmarzyło, żem do białego dnia spał jak zabity; lecz obudziwszy się jakże miłą miałem niespodziankę, pozbywszy się djaryji bardzo dokuczliwej, która mnie od kilku dni ogromnie męczyła. Z miasta dostaliśmy obficie wszelkiej żywności, cały dzień staliśmy na tem przedmieściu, rozumie się, że utrzymując wartę polową i rozsyłając patrole. Przybył tu wreszcie i mój służący, miał powózkę zaprzężoną trzema dobremi chłopskiemi końmi, pełną najróżniejszych zapasów żywności, a oprócz tego prowadził z sobą jeszcze krowę mleczną; tych kilkanaście dni na niczem nam nie brakowało i ze służącym moim częściej spotkać się mogłem.

Moskale cofali się dalej, wykonując powzięty plan pięć dni kręciliśmy się za niemi, przechodząc kilkakrotnie rzekę Moskwę; doszliśmy nieprzyjaciela dopiero w Woronowie, majątku hr. Roztopczyna, gubernatora Moskwy, który tak jak Moskwę spalić kazał, i swój własny pałac zrujnował i spalił, a w bramie umieścił na tablicy po moskiewsku napis: przygotowana kwatera dla Bonapartego, ludożercy (iźwierga); w Woronowie zajęli Moskale pozycję i trochę się nam opierali, lecz o milę stamtąd, pod Tarutino stanowczo stanęli. Tego dnia byłem znowu na flankierach; od Woronowa ruszyliśmy, postępując za kozakami, więcej manewrując jak ucierając się, a ku wieczorowi stanąłem z flankierami nad doliną, koło nietkniętego jeszcze jakiegoś folwarku, dałem więc znać do pułku, aby przysłali po furaż. Służba moja na flankierach z nocą się kończyła, przysłano tedy innego oficera z plutonem na moje miejsce, a mnie kazano furażować; przyjechał był tego dnia do mnie na flankiery na ochotnika sierżant Wojnarowski, wyborny żołnierz, znakomity kawalerzysta, który jeszcze w roku 1811-tym wysłany był do Francji

jako instruktor kawalerji, a potem zostawał jako ordynans przy marszałku Davoust; zajechaliśmy tedy na ten folwark i zaczęliśmy wiązać siano na wiązki, linje nasze nas mijały jedna po drugiej, kirasjerzy nasi rozkładali się obok folwarku obozem, już rozrywali płoty i budynki na ognie, gdy usłyszeliśmy wielki krzyk i strzelaninę gęstą na naszej linji, która już była wyszła na pagórek, a na koniach stała już tylko nasza dywizja, czekając na rozprowadzenie forpoczt. Usłyszawszy tedy te nagłe krzyki, zrozumieliśmy, że naszym nagłe jakieś niebezpieczeństwo grozić musi, a znając słabość liczebną swoich, poczuliśmy, że trzeba spieszyć na pomoc; zostawiam tedy dwóch żołnierzy przy wiązkach siana, a sam z Wojnarowskim i resztą ludzi przybiegam i zastaję obydwa nasze pułki (6-ty i 8-my), bo już razem się formowały w jeden oddział, uszykowane przez majora Suchorzewskiego w jeden szereg, wstrzymujące mnóstwo kawalerji rosyjskiej, jednakże stojąc na miejscu. Konie nasze tak były osłabione, że nie były zdatne do szarży, nie były w stanie ruszyć się szybszym chodem; kawalerja moskiewska różnego gatunku przylatywała aż przed sam nasz front, strzelając do nas, a my sił nie mieliśmy w koniach, aby ją rozgromić, lecz męztwo żołnierzy trzymało tę massę na miejscu prawie tylko siłą bezwładności, wspartej siłą i hartem ducha

Wprowadziłem oddział mój na lewe skrzydło i stanąłem obok Borysławskiego, który w kilka chwil potem został raniony; mnie kula kaszkiet na wylot przewierciła, drugą martwą dostałem w ramię. Poczuwszy uderzenie, pierwszą myślą moją było podziękować Bogu, że się raz ta nędza, te cierpienia i nieznośne trudy zakończą, lecz poruszywszy ramieniem, poczułem, że kości całe, a pomacawszy, zobaczyłem, że krwi nie ma, nie ruszyłem się tedy z mego stanowiska. Wojnarowski i niektórzy żołnierze czujący pod sobą trochę silniejsze konie, nie mogli wytrzymać i wybiegli z frontu, ucierając się w

pojedynkę, na ostre z nieprzyjacielem. Wojnarowski, nie wiem czy ranny od postrzału, czy mu się siodło przewinęło, spadł z konia i nie mogłem się dowiedzieć, co się z nim stało, bo choć plac boju został w naszym ręku, znaleźć go na pobojowisku nie mogliśmy, zwłaszcza, że dopiero, gdy się ściemniać zaczęło, walka ustała.

Moskale odsunęli się od nas jeszcze o milę. my obozowaliśmy we wsi Tarutino przez dni 14, w końcu budynków we wsi na materjał do ognisk obozowych zabrakło.

Za furażem i żywnością posełaliśmy ciągle w jednę, to jest prawą stronę, bo na lewo posełały korpusy lewego skrzydła, to też zapasy szybko się wyczerpywały tak, że po kilku dniach już o trzy mile za prowiantem jeździć było trzeba. Było to już ku środkowi miesiąca października, dzień krótki, wyjechawszy do dnia, nocą już powracało się ze snopami, sianem, czasem tylko ze słomą a rzadko kiedy z ziarnem, do tego musieliśmy brać koniecznie piechotę i armaty dla osłony furażów. Bardzo to ciężka była służba, mało oficerów, mało ludzi, a w służbie liczono nas zawsze jako pułk; i tak: jednego dnia na warcie polowej drugiego za furażem, trzeciego na ordynansie u generała, a co mi najgorzej dokuczyło, to właśnie osobistość generała komendanta. Nasz generał Nansouty, był pod Możajskiem ranny, zastąpił go generał St. Germain, stary, zgryźliwy, niewyrozumiały śledziennik, cały dzień trzymał niepotrzebnie ordynanse na nogach i przy swoim boku, a w nocy trzeba było leżeć w błocie, trzymając konia w ręku, mało która noc minęła, żeby gdzie tego nieszczęśliwego oficera nie posełał; czasem, to jakby na żarty, do tego łajał brutalnie za niepoprawne tłumaczenie się po francusku, słowem, przez te 14 dni spokojnego niby obozowania, ani jednego dnia spoczynku nie miałem w obozie. Tak byłem znękany i zmęczony, że kuli jak zbawienia wyglądałem, aby raz te męki za-

kończyć z honorem; bo żeby nie ranny pozostać w tyle chroniąc się od uciążliwej służby, na to mi przekonania moje odważyć się nie pozwalały, a zresztą żalby mi było zepsuć sobie wspomnienia i zasługi, tylu trudami nabyte; stracić wszystko to w jednym dniu rozgoryczenia lub omdlenia woli; czekałem cierpliwie, jeżeli nie na co innego, to bodaj tego zaszczytu, że ostatni oficer z pułku, z honorem z pola zejdę, bo codzień nas ubywało; już od Możajska, szykowaliśmy się w jeden szereg. Czuliśmy to, że choć armisticjum nie przyszło do skutku, to obie armje koniecznie potrzebowały wypoczynku; na placówkach staliśmy przez te 14 dni, zupełnie spokojnie, żołnierze rozmawiali z sobą i częstowali się wzajemnie, nawet generałowie rozmawiali z sobą, gdy się przy objeżdżaniu placówek spotkali; królowi Neapolitańskiemu placówki nieprzyjacielskie oddawały wojskowe honory, a z moskiewskiego obozu dolatywał nas codzień odgłos bębnów, po których oni swoich rekrutów uczyli maszerować.

Ks. Dominik Radziwiłł, który pozbywszy się groźnego zapalenia ócz, a dowiedziawszy się w Moskwie o ruchu armji, przybył do pułku, przywiódł ze sobą wygojonego także z otrzymanych ran kapitana Otwinowskiego i kilku innych oficerów (trzech); tak że pułk nasz znowu na 49 koni urósł.

Niedaleko już do kresu czynnej służby mojej w tejże kampanji, niech opiszę, jak w tej chwili (17-go października 1812) byłem umontowany: na głowie kaszkiet, dwa razy na wylot przestrzelony, kurtka wytarta i obcisła, bo z niej podczas kampanji wyrosłem, kożuch chłopski, którego dostarczył mi mój służący, a na nim kołnierz od płaszcza niegdyś białego, szarawary białe, zdarte z piechotnego moskiewskiego żołnierza, buty podarte a na gołej nodze, gdyż na szkarpetki już je wdziać nie mogłem, obcasy z ostrogami poobrywane, pałasz zawsze na temblaku, bo pochwę koń złamał, kładąc się podemną z osła-

bienia; koń podemną był tak słaby, że, jak to już wspomniałem, kładł się za każdem zatrzymaniem; kulbaka okryta czaprakiem z oderwanym prawym bokiem.

17-go października około południa zaczął się ruch w obydwóch wojskach; sierżant Wieluński podał się jako chory, a że to był porządny bardzo i tęgi żołnierz, więc i konia miał pod sobą dobrego i troskliwie karmionego. Korzystałem z jego nieczynności i konia, jako skarbowego, wziąłem pod siebie; z jakąż satysfakcją siedziałem znowu raz na dobrym koniu. Zaraz z wieczora brygadami, koleją siedzieliśmy na koniach w pogotowiu, a o północy już cała dywizja, bo spodziewaliśmy się nagłego napadu, który rzeczywiście miał miejsce tej nocy, ale na nasz polski korpus, a na który książę Józef zręczną zasadzką odpowiedział. 18-go rano spostrzegł nasz komendant, król neapolitański, że Moskale manewrują, aby nas otoczyć, więc zaczęliśmy wolny odwrót z dział mi na prolonżach, choć nas nawet bardzo z frontu nie atakowano. Ciągnęliśmy tak zwolna przez dwa pagórki i minęliśmy las, który zaraz piechota moskiewska zaczęła obsadzać Za lasem, mając za sobą otwarte pole, stanęliśmy w asekuracji armat; wtem zaatakowała moskiewska kawalerja naszę piechotę wypartą z lasu; kazano nam spędzić tę konnicę; poszliśmy kłusem, Moskale cofali się. podprowadzając nas pod las, gdyśmy już byli blizko odkryli piechotę, która na komendę pułkownika: stój! dała do nas ognia na dystans bardzo blizki; ja dostałem kulę w lewe oko; stałem wtedy na prawem skrzydle pułku obok mnie wachmistrz Szygocki, syn ekonoma z Białobóżnicy, pełen szlachetnej ambicji, lecz niezmiernie nerwowy, w każdej gorętszej akcji tracił głowę, formalnie nie wiedział co się z nim dzieje, pacierze klepał bez związku ale zawsze dotrwał do końca, choćby w największem niebezpieczeństwie; ten niezmierny wysiłek ducha i woli przepłacił później chorobą i śmiercią; po mojem zranieniu on jeden

i sześciu żołnierzy z całego pułku na koniach się zostało, bo salwa tej piechoty nie mnie jednego tylko trafiła; adjutant podoficer Tadeusz Wyleżyński, który dopiero co z księciem przybył i pierwszy raz przed nieprzyjacielem stanął, jednocześnie ze mną postrzelony, utracił rękę. Dostawszy w oko, przy nadzwyczaj gwałtownym bolu, pierwszą moją myślą było, że już koniec wszystkiemu, że od takiego postrzału muszę być zabity, bezwładnie opadła mi głowa na kulę od siodła, czekałem spokojnie co tu dalej będzie; po dłuższej chwili czując się przytomnym, zawołałem kilkakrotnie, że jestem ranny; ale mój Szygocki nie wiedział czy sam jeszcze żyje i zostawił mnie bez pomocy; dopiero porucznik Strzembosz wziął konia mego za cugle, obrócił w tył i dwom żołnierzom odprowadzić mnie kazał; podniosłem głowę i zasłaniałem sobie twarz kołnierzem od płaszcza, lecz widząc, że krew bardzo obficie płynie, odrzuciłem płaszcz, bo mi go szkoda było; pułk, cofając się, zbliżał się do nas, za nim kartacze; żołnierze, którzy mnie prowadzili, chcieli pospieszyć kłusem; nie pamiętam, czy nie chciałem, czy ruchu tego znieść nie mogłem, czy też mnie siły opuściły, dość że puściłem cugle, opuściłem pałasz i zsunąłem się z konia, zostawiając kaszkiet na ziemi; przypominałem sobie tylko, że żywiłem gorące pragnienie, aby mnie dobito.

Nadjechali oficerowie z pułkiem, wsadzili mnie na konia i uprowadzili z sobą; otrzeźwiałem siedząc na ziemi podtrzymywany przez kolegów; od nich dowiedziałem się, że po dwugodzinnym marszu tu się dostałem. Za frontem 16go pułku ułanów opatrzył mnie chirurg, powieki mocno już były opuchnięte, zatkał więc dziurę szarpiami, obandażował i wsadzono mnie do bryki naszego generała brygady; buda tej bryki zarzuconą była różnemi gratami, i mnie tam, prawie na siłę wepchano; huzar pruski który tą bryką powoził, umykał o ile mógł najszybciej, nie wyszukując drogi, jak to zawsze bywa w rejteradzie. Tłukłem

się więc niemiłosiernie o graty tej budy i przeklinałem ją, póki nie straciłem przytomności; nie wiem jakim sposobem znalazłem się w nocy, przyszedłszy do przytomności, między swoimi oficerami i mając przy sobie swego sługę, w baraku, gdzie względnie spokojnie noc przepędziłem; 19go rano już i drugie oko tak mi opuchło, że nic nie widziałem; słysząc że ktoś mnie przyszedł odwiedzić, podniosłem palcami powiekę prawego oka, lecz więcej po głosie jak wzrokiem, poznałem gener. Wincentego Krasińskiego i naszego księcia pułkownika, wzięli mnie pod ręce i zaprowadzili do apteki polnej króla Neapolitańskiego, zastałem tam doktora i samego króla, który znając mnie dobrze osobiście, gdyż przez całą kampanję codzień mnie widywał, a często ze mną mówił, pożałował mnie i po wojskowemu pocieszał, doktor opatrzył, lecz nie zdecydował, czy kula siedzi w jamie ocznej, czy też tylko uderzywszy bokiem, oko wysadziła i przeszła; Wyleżyńskiemu zaraz rękę amputowano.

Na wniosek pułkownika mojego, i za przyczynieniem się króla Neapolitańskiego, zostałem umieszczony na liście kawalerów krzyża legji honorowej, za odznaczenie się kilkakrotne podczas tej kampanji; przyznano mi go za batalje: pod Valentino, Dorohobużem, Możajskiem i Tarutino; w tej to ostatniej nieszczęśliwej bitwie, poniósł nasz polski korpus ogromną, niepowetowaną stratę, straciwszy bohaterskiego a tak zdolnego generała Fiszera, który tu poległ. Z pod Tarutino tylko korpus polski wyprowadził swoje armaty jaszczyki i kasy, wszystkie inne korpusy, nie wyłączając naszego swoje utraciły w liczbie sztuk 120, a to w skutek braku zaprzęgów i zarozumiałego uporu Francuzów, iż z naszych przestróg, aby konie kuć na ostro, wyśmiewali się, zowiąc to barbarzyńskiem okuciem, i tutaj krwawo to odpokutowali, tracąc armaty, jaszczyki, kasy etc. których konie na tępo okute, po gołoledzi i ślizgawicy wyciągnąć nie były w stanie.

W pierwszej godzinie rejterady byłem ranny, rozpoczęliśmy tę rejteradę nie wprost ku Wiaźmie, lecz w kierunku na mały Jarosławiec, przez który zamierzał zrazu Napoleon ciągnąć ku Ukrainie. Żeby był się odważył na wydanie jednej jeszcze bitwy, bylibyśmy zbili ostatnie w tym roku wysilenie Moskali, bo wojsko ich złożone z samych niedobitków i rekrutów, wynosiło wówczas razem z opołczenjem t. j. pospolitem ruszeniem zaledwie 100.000 ludzi Lecz Napoleon demoralizowany najgorszemi radami swoich Marszałków, a jeszcze gorzej przez nich obsługiwany, nie śmiał już zebrać reszty sił i użyć ostatniego, zupełnie dobrego, prawie nietkniętego wojska, to jest: swoich gwardyj, widać że je uważał za jedyną swoję podporę a czuł, że generałom i Marszałkom idzie więcej o wywiezienie i spokojne używanie zrabowanych zdobyczy, jak o los kampanji i armji. Przezorność tę obróciła Opatrzność na jeszcze większą klęskę. Jeden wice-król włoski, sam jeden, bez pomocy zostawiony staczał bój pod małym Jarosławcem, przez dwa dni, stanowczego zwycięstwa sam odnieść i wyzyskać nie mógł, lecz plac boju utrzymał.

Zaczęła się rejterada, jechałem na zaprzężonej trzema końmi powózce mojego człowieka, a za powózką biegła krowa nie przywiązana często dobrym kłusem za powózką zdążając. Przez pierwsze trzy dni rana niezmierny ból mi sprawiała, byłem w gorączce, nic jeść nie mogłem, piłem tylko mleko naszej krowy; czwartej nocy puściła się z rany materja, ból pofolgował i odtąd ciągle się zmniejszał, opatrywano moję ranę używając wody z winem, octem lub wódką; tak tedy razem z krową dociągnęliśmy aż do Berezyny pod opieką zacnego, poczciwego kapitana Otwinowskiego, który zbierając co mógł żołnierzy na chłopskich konikach, uformował porządny oddziałek, tak że jego oddział jako punkt zborny uważano i kto tylko nie stracił ducha, garnąć się do niego począł; wkrótce wszyscy nasi oficerowie, a nawet oficerowie i

podoficerowie innych pułków, w naszej kompanji się znaleźli. Ciągnęliśmy na Wiazmę, gdzie spodziewaliśmy się pozostać na zimowych leżach, bo nikt nie myślał, nikt nie przypuszczał, aby Napoleon mógł być zmuszony do ucieczki; dotychczasową rejteradę wojsko zawsze jeszcze uważało za manewr; choć to już nie wojsko maszerowało, lecz ciągnęła się horda bez porządku, więcej jak na dzień marszu długa, a szeroka tak, jak zaskakujący z boków kozacy dozwalali; my trzymaliśmy się boków, wybierając na noclegi miejsca jak najdalej na bokach leżące, bo najmniej zniszczone; nieraz nam się trafiło, żeśmy w jednej wsi z kozakami nocowali, lecz obie strony śmiertelnie były znużone, więc nawzajem spoczynek swój szanowały.

Mrozy nie były jeszcze zbyt dokuczliwe, lecz zawsze dość duże, żeby zamrozić ciała poległych, których mnóstwo na wszystkich pobojowiskach znaleźliśmy. Wszystkie ciała były nie pogrzebane, nie wiem coby to było, gdyby nie mróz! Oprócz tych co w walce polegli, zastaliśmy aż do Smoleńska drogę naszę okrytą trupami żołnierzy naszych pomordowanych na tyłach armji przez chłopów i kozaków; tym razem maruderom źle się powiodło, odnieśli zasłużoną karę; dużo ciał tak było wdeptanych w błoto, które potem zamarzło, że koła naszych armat i powózek, przechodząc przez nie, nie zaczepiały nawet. Głód dawał się czuć coraz więcej, bataljony Hiszpanów, którzy eskortowali niewolników, wyrzynali pieczenie koniom a nawet ludziom nie wiedzieć od kiedy pobitym i tem mięsem się żywili; nieraz odbierały im nasze, polskie oddziały, groźbą i siłą niewolników moskiewskich, których te draby zabijać chcieli dlatego, iż z wycieńczenia iść dalej nie mogli, ale rzadko którego z tych biedaków dało się o tyle odżywić, żeby poszedł do swoich lub ich się mógł doczekać. Lecz nietylko niewolników stan był tak okropny, wszyscy młodzi Francuzi i Włosi zupełnie z sił opadali; Niemcy, starzy francuzcy żołnierze i Polacy byli wytrwalsi, nie źle

się jeszcze trzymali, ale nikt nie pomyślał nawet o tem, żeby ich zebrać i z sił ich korzystać, a do Smoleńska jeszcze można było z tych żołnierzy różnych narodowości czynny i silny korpus piechoty utworzyć. Doszliśmy do Smoleńska. U wejścia do miasta, od Dniepru do bramy. prowadzi droga podmurowana z obu stron bardzo wysoko, może wyżej 10-ciu sążni; gdyśmy się wszyscy tą drogą ku bramom miasta tłoczyli, banda Francuzów, w pośród których się znalazłem, wzięła mnie za kobietę, bo miałem twarz i głowę owiązaną szmatami, porwała się na mnie ze wściekłością, bez żadnej przyczyny i chciała mnie wraz z powózką wrzucić w przepaść. Szczęściem dla mnie wczas docisnęli się do mnie nasi żołnierze z Michałem Szygockim na czele (Szygocki był wówczas sergeant major w 3 cim pułku ułanów) i rozpędzili bronią tych drabów.

Od Smoleńska dopiero, plaga boska na dobre nad nami zaciężyła, mrozy coraz się wzmagały; kraj szerzej spustoszony przez nasze korpusa rezerwowe; żeby coś żywności pochwycić, trzeba było daleko na boki się awanturować; już i moralnie siły nas opuściły, każdy szedł z desperacji jakby obłąkany, dla przedłużenia godziny nędznego swego życia każden gotów był brata pożreć; na własne swoje oko widziałem, jak żołnierze zabijali swoich kolegów, pobocznikow, aby im kawałek chleba odebrać, jak niedomarzłych jeszcze, jęczących i błagających o ratunek kolegów, obdzierali, aby czemprędzej ich łachmanami okryć swoje własne członki. Kozacy uwijali się ciągle po obydwóch bokach tej ruchomej po większej części bezbronnej masy, prawie nie zaczepiając; nie wiem, czy imponowała im ta ogromna masa ludzi, czy może nie chcieli brać niewolnika, nie wiedząc, co z nim zrobić, a wycinać barbarzyńsko nie potrzebowali, woleli żeby mróz i głód za nich dzieło zniszczenia przeprowadził.

Cesarz trzymał się zawsze jakiegoś oddziału gwardji pieszej; ci bohaterscy ludzie i tę plagę jakoś znosić po-

trafili; był to przykład dla całej armji, ale już inni dość siły ducha nie mieli, aby go zdołali naśladować; wielu z tych żołnierzy przetrwało spiekoty w Egipcie i tu moskiewskie mrozy przetrwać umieli, dając dowód, co hart ducha może; nauczyli ludzi dowodnie, że siła duszy pokonuje słabość ciała.

Czasami ukazywały się większe oddziały kawalerji moskiewskiej, zagrażające oddziałom gwardji, eskortującym cesarza; wtedy, gdy cesarz zdawał się być w niebezpieczeństwie, rozjeżdżali się marszałkowie pomiędzy kupy broń jeszcze mające, i używali do skupiania się, nieraz jednak samemu mnie widzieć się wydarzyło, że na wezwanie do szykowania się, niejeden z żołnierzy, bronią marszałkowi pogroził, a niejeden karabin o ziemię zgruchotał. Tak dobiedowaliśmy aż do Bobra, miasteczka o dwie mile od Berezyny położonego, tam rozeszła się w wojsku wieść, że Dąbrowski, który ze swoim polskim korpusem stał na przeciwnym brzegu Berezyny i bronił armji od oskrzydlenia i odcięcia zupełnego od zachodu, został przeważnemi siłami naciśnięty i zmuszony do przejścia na brzeg wschodni; popłoch się zrobił ogromny, lada chwila spodziewano się zobaczyć rozbitki Dąbrowskiego, a za niemi drugą armję moskiewską z zachodu, gdy pierwsza ze wschodu nas naciskała; tymczasem na popłochu tylko się skończyło, bo gdy tu ciągnęła horda zdemoralizowana i zdezorganizowana, pod Dąbrowskim, niewielki korpusik, z żelazną wytrwałością nieprzyjacielowi się opierał, a zmuszony siłami znacznie przeważnemi, cofnąć się za Berezynę, pójść Moskalom za sobą niedozwolił i rzeki nawet przebyć im nie dał. W Bobrze i koło Bobra staliśmy dwie doby, nadciągnęli i ci, co na tyłach armji się wlekli, ścisk się zrobił niesłychany, tak że już dzień i noc w potoku ludzi naprzód się posuwając, ledwie do Berezyny dopchać się zdołaliśmy. Na rzece stały trzy mosty, Napoleon sam stał na koniu i przepra-

wiał wojsko pod bronią jeszcze będące, które przeprawiwszy zebrał i odparł niemi armję Formansowa, resztki kirysjerów sformował w jeden oddział i cały pułk piechoty moskiewski zniósł niemi do szczętu. Szkoda że energji tej nie rozwinął pod Jarosławcem jeszcze, tam się wahał, tam słuchał rad obcych, a tam można było dać inny obrót kampanji, gdy tu wysiłek desperacki tylko chwilowo drogę odwrotu znowu otworzył, lecz pozostał dowód, że to samo co teraz zrobiono, zrobić było można wcześniej, a z jakże innym skutkiem.

Około 3-ciej po południu dwa mosty się załamały, przy pozostałym ostatnim moście stał ciągle jenerał i tylko armaty i ludzi niosących broń przepuszczał; tak tedy staliśmy nad samym brzegiem rzeki dwa dni i dwie noce. Jakby umyślnie wszystko się przeciw nam sprzysięgało, mróz tak srodze nas w marszu gnębiący właśnie wtedy pofolgował, nastała nagła odwilż, a tak silna, że lody na Berezynie puściły, robiąc trudną, bardzo niebezpieczną przeprawę tam, gdzie kilka dni temu cała armja przejść mogła, nie wiedząc nawet że rzekę przechodzi. Po dwóch dniach arjergarda nasza, a tuż za nią moskiewska armja zaczęła się zbliżać, nadedniem już i kule działowe moskiewskie w zbitą nad brzegiem rzeki massę ludzi uderzać zaczęły. Wtedy już kapitana Otwinowskiego cierpliwość opuściła: zebrawszy swoich kilkudziesięciu na chłopskich koniach siedzących ułanów, wziął we środek powózkę, na której ja leżałem, kazał wziąć broń do ataku i natarł na serjo na generała i żandarmów francuzkich, stojących na moście i niedozwalających przeprawy; jednych rozpędził, drugich zepchnął w wodę, kilku tylko żandarmów zostało na moście i jeden z nich chciał gdyśmy go na moście mijali, ciąć mnie pałaszem ze złości, ale graty, między któremi leżałem, wstrzymały cios, tylko jednemu koniowi przeciął krzyże, rąbiąc ze wściekłością prawie na oślep, tak że ledwieśmy nawet przejechać zdołali, koń

padł. Tym sposobem tedy, jedynie dzięki poświęceniu i energji Otwinowskiego przebyłem Berezynę powózką, bo śmiało twierdzić mogę, że ze stu wozów, które ciągnęły z armją, ledwie jeden przeszedł, a tysiące ludzi, armaty, kassy i bagaże najwyższych dostojników na tamtym brzegu zostały.

Od Berezyny do Mołodecznej, na drodze ku Wilnu, ciągną się błota bardzo szerokim pasem, kilkanaście mostów jeden za drugim trzeba tam przebywać; zniszczenie tych mostów mogło dość długo wstrzymać pościg armji moskiewskiej; ale i tu nieszczęście nas prześladowało, zaraz wzięły silne mrozy, błota zamarzły i nie stanowiły już żadnej przeszkody. Francuzi tak byli spłoszeni, że na sam okrzyk „kozacy!“ uciekali, opuszczając wszystko. My czasem korzystaliśmy z tego, bo gdyśmy we wsiach na boku leżących które tu już mniej były zniszczone, miejsca na noc znaleść nie mogli, ciągnęło kilkunastu naszych z lancami na chłopskich koniach i w chłopskich kożuchach po nad wieś, my zaś wpadaliśmy do wsi z okrzykiem „kozacy!“ Francuzi uciekali z izb, zostawiali przygotowaną strawę, a my na ich miejscu do gotowego zasiadaliśmy, nie bojąc się kozaków. Na tej przestrzeni nowym scenom dzikości i desperacji się przypatrzyłem, wszystkie domy bez wyjątku rozbierano na ognie, nie zważano na kwatery królów i marszałków, przeciwnie, prawie umyślnie zapalono im dach nad głowami. Ci potentaci ze snu ledwie otrzeźwieni, czasem ledwie z duszą uchodzą, a hultajstwo maroderskie przykpiwa sobie jeszcze, mówiąc: grzejmy się razem, będzie nam weselej. Przy tych ogniskach nocnych mnóstwo zawsze pozostawało trupów, bo niejeden jak zasnął przy ogniu, tak i nie spostrzegł się jak zamarzł. Od Mołodecznej cesarz nas opuścił; król neapolitański objął komendę armji.

Przywlokłem się tak z Otwinowskim i kolegami aż do Wilna; całą noc trwało, nim ulicą od Ostrej bramy

dopchać się zdołaliśmy. Rano, już w samej Ostrej bramie, spotkałem żołnierza, który mnie znał dobrze, a że był dawniej kozakiem w pałacu Radziwiłła, znał doskonale wszelkie zaułki miasta, zajął się nami i poprowadził bocznemi uliczkami, po pod wały na lewo i inną bramą, wprowadził do miasta i do pałacu Radziwiłłowskiego, zwanego Kardynalją; ledwie wysiadłem z powózki służący mój zabrał się napowrót w stronę, którędy armja wchodziła, później przyznał mi się dla czego Francuzi rzucali po drodze nietylko broń ale mantelzaki, słowem wszystko, co ciężyć mogło, aby choć z duszą dostać się do miasta; mój człowiek, przemyślny stary wyga, był to abszytowany żołnierz z Augustowskiego, podjeżdżał powózką, zbierał co inni rzucali, a spokojnie obrewidowawszy, co mu się godnem wydało, zachowywał. Musiał on nie mało i to dobrze naładowanych mantelzaków obrewidować, bo się nawet z tem nie taił, że ma znaczne pieniądze, sądzę, że musiał zebrać znacznie więcej, jak 10.000 dukatów.

W Kardynalji zastałem naszego ks. pułkownika, mocno chorego na dyssenterję, wezwał mnie do siebie, lecz ujrzawszy, formalnie przeraził się moim widokiem. Zobaczył mnie w łachmanach, z pod których gołe ciało przezierało, osmolonego mroźnemi wiatrami, z odmrożonemi nogami, osądził, że bez osobnej opieki dalej jechać nie będę w stanie. Z sobą mnie wziąć nie mógł, bo zostawszy majorem w pułku gwardji Krasińskiego, sam z Francuzami i z tym pułkiem na Królewiec miał ciągnąć, Polakom przeznaczono kierunek na Warszawę.

W drugim pokoju obok nas był teść księcia, generał (tak go tytułowano) Morawski, stary już człowiek, który wybierał się właśnie do Warszawy, podróżując z wszelkiemi wówczas możliwemi wygodami; jemu oddał mnie książę pułkownik, aby mnie dowiózł do Warszawy, opiece jego szczególniej mnie polecając, a mnie przyjaźnie przykazując, abym się go trzymał Otwinowski i inni

koledzy odradzali mi oddawać się tej opiece, zaręczając, że mnie bezpiecznie dostawią do Warszawy, a że tej pewności przy niedołężnej opiece Morawskiego mieć nie będę. Choć Otwinowskiemu zupełnie wierzyłem i z całej duszy ufałem, nie czułem się jednak na siłach aby wytrzymać pospiech i ostrożności, jakie w marszu zachowywać musieliśmy, do tego książę pułkownik w serdeczny sposób mnie namawiał, żebym z tej okazji korzystał, upewniając, że i bezpiecznie i wygodnie do Warszawy dojadę. Przystałem tedy na propozycję księcia, dziękując mu za pieczołowitość i poczciwe serce dla mnie, a zacnego mego wybawcę Otwinowskiego i poczciwych kolegów pożegnałem, wybierając się ruszyć nazajutrz wieczorem z Morawskim.

Drugiego dnia liczono na wstrzymanie Moskali, bo był w Wilnie wypoczęty zupełnie świeży korpus, złożony z żołnierzy wirtembergskich i włoskich, ale ci zaledwie uszykowali się za miastem, jak im zaczęły dłonie do karabinów przymarzać; rzucili broń i pouciekali

Wieczorem wybraliśmy się tedy z Morawskim jakąś boczną drogą; nie był to rzeczywisty generał, lecz możny szlachcic litewski, któremu cesarz, dla zachęcenia Litwinów, nadał tytuł generała; nie chciało mu się i nie miał potrzeby z kraju wyjeżdżać, a na domiar złego miał przy sobie jako faworyta towarzysza, wypędzonego z naszych kirysjerów awanturnika, ekskapitana Budziszewskiego. Kto chciał, łatwo dostawał się za Niemen, w granice księstwa Warszawskiego; tam było już bezpiecznie, bo Moskale nie rychło zdecydowali się przejść Niemen; my podróżowaliśmy powoli, dopiero na trzecią noc stanęliśmy w Janowie, a raczej we wsi pod miasteczkiem Janowem, o pół mili od Niemna; prawda, że nocowaliśmy zawsze wygodnie i w ciepłych budynkach; ja od sześciu miesięcy po raz pierwszy byłem w tem położeniu, że mogłem buty zdjąć na noclegu, to też jak mi się nogi rozgrzały, okro-

pnie mnie boleć zaczęły, nie mogłem zasnąć inaczej, jak trzymając nogi w naczyniu pełnem śniegu, toż to była dopiera męka jak przyszło rano buty zaciągać. Na tym ostatnim noclegu przezorny służący mój widząc jak się ślamazarnie wleczemy, namówił mnie już był do opuszczenia generała Morawskiego, aby dostać się jak najrychlej za Niemen i sam w tym celu pojechał naprzód z końmi. Nim zdołałem zebrać się, a szczególniej buty zaciągnąć, równo ze świtem jednak wychodzę przed chatę, aby siadać na sanie, aż tu widzę wymykają się z po za budynków jeden za drugim jeźdźcy w białych płaszczach; poznałem kozaków; już do chałupy nie wracałem, bo nie chciałem, aby mnie gdzie z kąta wyciągali Przyskoczyli do mnie, assauł na czele zeskoczył z konia i spytał: ty oficer? obszukał moje kieszenie, a nic nie znalazłszy, powiada: jaki ty oficer, kiedy ty nic nie masz! Pokazałem mu szlify na moich ramionach, a on na to: to twoje odznaki wysłużone, nie godzi mnie się tobie ich zabierać. Z trok w saniach będących zabrał tylko moje paradne oficerskie ozdoby, bielizny i mundurów nie brał.

Napad ten kozacki nie był przypadkowy; Budziszewski ciągle po drodze awantury wyrabiał, a na ostatnim noclegu wybił ekonoma; tą samą drożyną, co myśmy jechali, zjawili się drugiego dnia kozacy, przez zemstę dał im znać ekonom, że generał majętny z kilkoma oficerami nieopodal nocuje; kozacy chciwi zdobyczy, wysłali swój oddział umyślnie za nami, inaczej, pomimo naszej powolnej jazdy bylibyśmy się bezpiecznie i spokojnie dostali za granicę, jak mój służący który uszedł, podczas gdy generał, kilku oficerów, między nimi i ja, oraz kilkudziesięciu żołnierzy różnej narodowości, którzy w tej wsi nocowali, dostali się w niewolę. Posadziwszy mnie z żołnierzem ordynansowym na moich własnych saniach, wieźli mnie kozacy do swego kopusu; po drodze każdy oddział, któryśmy napotkali, przetrząsał moje rzeczy, do osoby się nie

brali, może miarkowali z ubioru, że nic przy mnie nie znajdą; po kilku takich rewizjach już moich torb nawet nie zbierałem, bo mi to przetrząsanie dokuczyło, a dobrze wiedziałem, że z ręki do ręki wreszcie wszystko zabiorą. Muszę tu powiedzieć ku chwale kozaków, że nietylko żaden jeńca nie uderzył, ale nawet złego słowa żaden nie powiedział, a kapitan kozacki dowiedziawszy się, żem z pułku Radziwiłła, kazał mi ze swoich zapasów włożyć w sanie prosię, kilka sztuk drobiu i chleba. Wieczorem dostawiono nas do głównej kwatery gen. Wittgensteina i umieszczono na folwarku pod strażą dragonów, któremi komenderował oficer Polak. Było nas tam kilkudziesięciu oficerów różnych narodowości, z tego ośmiu Polaków, a żołnierzy bardzo znaczna ilość. Nas ośmiu Polaków umieszczono w alkierzu, a resztę w pierwszej izbie.

Dużo oficerów rosyjskich odwiedzało nas, wszyscy jak najgrzeczniej się znachodzili; pewien kapitan artylerji dońskiej, człowiek trzeźwy i rozsądny, rozmawiał z nami dużo i wyznał nam, że gdybyśmy byli pod małym Jarosławcem odnieśli zwycięstwo, to dońcy przygotowani byli do nas się przyłączyć, bo tam uważali batalję tę za cios stanowczy dla Moskali, z których i oni nie bardzo byli kontenci i uważali, że po tej bitwie przegranej, jużby byli nie mieli czem przeszkadzać nam na zimowych leżach; z wiosną cała Polska mogła być pod bronią, a Napoleon byłby mógł, albo dyktować pokój z Paryża, albo z korzyścią wojnę dalej prowadzić; mądre Dońcy, chcieliby być po tej stronie, ku której się szczęście przechyli.

Drugiego dnia, t. j. 14 grudnia 1812, odprowadzili nas dragoni o parę mil dalej, do wioski, której nazwiska nie pamiętam, tam oddano nas pod straż pospolitego ruszenia; wszyscy ośmiu nocowaliśmy razem w jednej izbie, żyliśmy żywnością którą nam dali kozacy, komendant był surowy, ale nic nam złego nie robił. Francuskich oficerów, którzy nocowali po chałupach, kilku tej nocy

umarło; następnego dnia opołczeńcy nas eskortowali; zaraz obchodzili się z nami inaczej niż prawdziwi żołnierze, traktowali żołnierzy naszych źle, a nieludzko mordowali tych, którzy już iść nie mogli, szczęściem, że tylko jeden dzień marszu był do Wilna pod strażą tego dzikiego bydła, brodatych krzyżaków, bo chłopi moskiewscy składający opołczenje, nosili krzyże na czapkach i sierakach niby do wojny krzyżowej w obronie wiary powołani. W Wilnie zaprowadzono nas do małej oficynki obok klasztoru panien Bernardynek, nas ośmiu wepchano do alkierza, a do pierwszej izby Francuzów jak śledzie w samym klasztorze był szpital także bardzo przepełniony. Moje sanie z końmi, których mi nikt nie odbierał, zostały przed oficynką, a gdy nazajutrz nie miałem im co dać jeść, wypędziłem na ulicę, a żołnierzowi, który był uważany za mego służącego i nie był pod strażą poradziłem by sobie poszedł szukać chleba.

O żywności dla nas nikt nie myślał, nikt do nas nie zaglądał, oprócz podoficera od warty; żyliśmy szczątkami żywności, którą przywiozłem w saniach, tylko chleba brakło nam zupełnie; wszyscy dostaliśmy silnej dyssenterji; lecz w pierwszej izbie gorzej było, codzień kilku zmarłych kolegów z tej izby wyrzucano na podwórze, bo i jeść nie mieli co biedacy i zimno im dokuczało. Piątego dnia, gdym opuszczał to więzienie, widziałem pod oknami szpitala ogromne stosy ciał które się uformowały z wyrzucanych przez okna szpitala zmarłych. Przyczyną tej okropnej nędzy mniej może było niedbalstwo rządu, jak zupełny brak środków zaopatrzenia i niemożność wprowadzenia dość szybko porządku w zaopatrzeniu ogromnej massy jeńców, do tego prawie wszystkich chorych. Pomału zaczęli się nasi wynosić do miasta; czwartego dnia już nas tylko dwóch pozostało, dobę całą nic nie jedliśmy; nie wiedząc co robić, wyszliśmy na dziedziniec; oglądając się, czy na mnie nikt nie uważa,

spostrzegłem za oficyną furtkę, wyglądnąłem przez nie i przekonawszy się, że nikt jej nie pilnuje nieśmiało zacząłem się oddalać, a pierwszą babinę, którą spotkałem, prosiłem aby mnie zaprowadziła na Kardynalję. Na ulicach widziałem mnóstwo podobnych do mnie postaci, pchających się do domów, odpychano ich, każdy odepchnięty wywracał się, ale mało który już powstawał, bo bezsilny padłszy na ziemię, głową o lód uderzał i tem uderzeniem się dobijał. Z trupami rady sobie dać nie mogli; obliczono na wiosnę, że przez zimę wywieziono z Wilna 22 000 trupów.

Dostawszy się do Kardynalji, udałem się do Morawskiego, który zajmował część pomieszkania jednego z gracjalistów Radziwiłłowskich. W przedpokoju leżał major Telatycki, chory na żółtaczkę, drzwi na lewo prowadziły do dwóch pokoi, zajmowanych przez rodzinę gracjalisty, rodziców starych i 17-letniej ładnej córki. Na prawo w pokoju leżał Morawski udający słabego; przyszedłszy proszę generała, aby dał kącik i jakąkolwiek pomoc, abym z głodu nie zginął, ten mi szorstko wszystkiego odmówił, co usłyszawszy Telatycki zbeształ go ostatniemi słowami a mnie powiedział, że sam nic nie mając, nic mi dać nie może lecz miejsce w swoim pokoiku mnie ofiaruje. Zostałem więc tam i żyłem przez kilka dni talerzem zupy na dzień, który mi kolejno raz matka, raz córka odstępowały, poczciwe serca kobiece, więcej mi dać nie mogły, bo same były prawie w nędzy. Osłabiony byłem niezmiernie, w kolanach żadnej władzy niemiałem, usiadłszy musiałem rękami się wspierać, aby powstać, do tego dyssenterja przez parę dni nadzwyczaj silnie mi dokuczała.

W kilka dni później Morawski odjeżdżał do domu, lecz mnie wziąć z sobą nie chciał. Telatycki położył się na jego łóżku, a ja Telatyckiego miejsce zabrałem; obydwa zostaliśmy bez sposobu do życia, nawet stróże nam w piecu zapalić nie chcieli. Pewnego dnia djabli nam nadnieśli Jana Jabłonowskiego, ten stanąwszy we drzwiach,

udawał policaja, że przychodzi po Telatyckiego; tem tak go przestraszył, że biedny stary z żółtaczki wpadł w malignę. Przez dwa dni sam bez pożywienia, w zimnej izbie musiałem doglądać chorego i wszystkie nieczystości uprzątać, wymiatać, wynosić, bo w malignie wyskakiwał z łóżka i podłogę zanieczyszczał. Wyglądałem i swojego końca, bo mi żaden sposób ratunku nawet do głowy nie przychodził, ale wyraźnie Bóg wejrzał na mnie łaskawem okiem, miałem bowiem takie zdarzenie: Drugiego dnia po mojem umieszczeniu z Telatyckim sprzedałem moje szlify za 10 złp; pół rubla zaraz obróciłem na zaspokojenie trapiącego mnie głodu, a mając rubla w kieszeni prawie bezwiednie, instynktownie poszedłem do kościoła Dom Boży zrobił na mnie wtedy wrażenie, jakiego w życiu nie doświadczyłem, bez namysłu dałem ostatniego rubla na mszę, wysłuchałem mszy i zupełny spokój we mnie wstąpił, nie czułem niepokoju, nawet gdy moja nędza z Telatyckim do najwyższego doszła stopnia. Kiedy już tylko śmierci spodziewać się mogłem, zjawia się u mnie kolega Lipiński i oznajmia, że Jędrzej Szumlański jest w Wilnie i chce się ze mną widzieć; jakże nagły, niespodziewany ratunek, przed chwilą bez nadziei ratunku, znajduję przyjaciela rodziny naszej, sąsiada mojego ojca, który mi daje 10 dukatów (więcej nie mógł, mając tak wielkie mnóstwo naszych cierpiących jak ja do wspomożenia) i obiecuje, że powracając zabierze mnie z sobą do domu.

Mając jakiś fundusik na życie, byłem przez parę dni spokojny, dawałem stróżom na wódkę, aby palili w piecu, zastanowiłem się jednak, że to nie na długo wystarczy, a dowiedziawszy się, że plenipotent radziwiłłowski, zarządzający całym majątkiem mieszka w pałacu (bo gałgan Morawski ani mnie o plenipotencie, ani też plenipotentowi o mnie umyślnie ani słówkiem nie wspomniał), postanowiłem przedstawić się i prosić przynajmniej o opał.

Poszedłem i zostałem bardzo dobrze przyjęty; pleni-

potent, pan Pokubiatta, był to zacny, uczciwy człowiek, miał ładną i dobrą żonę. Oświadczył mi, że ma wyraźne polecenie od ks. Radziwiłła, aby miał szczególną opiekę nad oficerami jego pułku, zaś poczciwa żona jego, widząc mnie chodzącego w łachmanach, zaraz z własnej myśli, przygotowała dla mnie odzienie, buty, bieliznę, wszystko aż do surduta, które to efekta, mnie zaraz oddano; przebrałem się, wtedy weszła do nas sama pani, i zaprosili mnie raz na zawsze do swego stołu, rozporządzając zarazem, żebym mieszkał dalej razem z Telatyckim, któremu zaraz dziada do usługi i dla opieki dodano.

Trwało tak kilka dni, Telatycki dogorywał, dając się mnie strasznie we znaki, bo był bezprzytomny, zrywał się i bezwiednie okropnie mieszkanie zanieczyszczał; raz tedy, żegnając się wieczorem po kolacji z zacnemi mojemi gospodarzami, odezwałem się prawie bezmyślnie, bo bez żadnego zamiaru lub planu: „No, trzeba już pójść, położyć się do swego grobu“.— Gospodyni, poczciwa pani Pokubiatta, tak to wzięła do serca, że się rozpłakała, pościel moję kazała zabrać i przenieść do swego przedpokoju, gdzie też już od tego dnia stale nocowałem. Major Telatycki umarł tej samej nocy.

Pan Pokubiatta, a szczególniej żona jego, chciała mnie koniecznie wyprawić na wieś, uważając pobyt tam za bezpieczniejszy, a i dostanie się do Warszawy ze wsi sądziła mniej trudnem jak z Wilna. Upatrzyła już nawet jednę ze swoich kuzynek, która mnie ze sobą zabrać i wywieźć miała; tymczasem ja zacząłem tracić siły, kłaść się po sofach, taiłem jednak moję chorobę jak mogłem, zrywałem się ostatkiem sił, gdy kto nadchodził, bo się obawiałem, aby mnie z obawy epidemji z domu nie wyprawiono.

Pewnego dnia był na herbacie u państwa Pokubiattów dr. Mianowski, ten jednym rzutem oka spostrzegł moję chorobę, zbadał mnie, a panu Pokubiacie oświadczył,

że o wyjeździe i mowy być nie może, a zaznaczywszy, że choroba moja może się da powstrzymać, ale może i gwałtownie wybuchnąć, dał lekarstwa na ten ostatni wypadek. Tejże nocy zdeklarował się tyfus, wpadłem w gwałtowną malignę, a obudziwszy się przytomnym po kilku dniach, znalazłem się w mieszkaniu starego kawalera, Niemca, muzyka, gracialisty książąt Radziwiłłów. Państwo Pokubiattowie przenieśli mnie tam, nie z obawy, lecz dla tego, że i dla mnie było tam spokojniej, i on sam, stanowiskiem swojem zmuszony dużo ludzi u siebie codziennie przyjmować, i to w pomieszkaniu dosyć ciasnem, musiał mieć przedpokój wolny. Odwiedzali mnie oboje kilka razy dziennie; ich troskliwej i przyjaźnej opiece zawdzięczam życie; gdyż choroba uporczywie się mnie trzymała, kilkakrotnie wpadałem napowrót w malignę i w szał. Podczas takiego napadu zerwawszy się, oderwałem nogę od fortepianu, szukając broni przed wojennym napastnikiem. Naprzykrzyłem się tem mojemu Niemcowi; gdy mnie w ciągu dnia pan Pokubiatta odwiedził, zapowiedział mu Niemiec, że mnie więcej u siebie trzymać nie będzie. Pan Pokubiatta zaczął mu przedstawiać, tłumaczyć, na to Niemczysko upierał się jeszcze więcej przy swojem, a wreszcie powiada, że jeżeli mnie za dwie godziny gdzieindziej nie przeniosą, to on mnie dziś jeszcze na ulicę wyrzuci.

Tego było już panu Pokubiacie za dużo, stracił cierpliwość, wybuchnął gniewem, a wyłajawszy go porządnie, zakończył: to ja ciebie, psiawiaro szwabie, prędzej na ulicę wyrzucić każę, nim ty się mi jego dotkniesz. Niemiec rozirytowany poszedł na pociechę do knajpy, upił się piwem na frasunek, a zaledwie wróciwszy do mieszkania, dostał apopleksji i na miejscu skończył; tak się ziściło dziwnym trafem do 24 godzin przekleństwo pana Pokubiatty; ustąpił mi się Niemczysko nieużyty, wyjechawszy sam na cmentarz

Dużo kłopotu mieli ze mną moi poczciwi gospodarstwo; napady szału często mi powracały, do przyjęcia lekarstwa trzeba było mnie zmuszać, czasem kilku ludzi było potrzeba, aby mnie utrzymać. Zrobiło mi się znacznie lepiej, czułem ogromny głód, wbrew przepisowi lekarza, naparłem się koniecznie mięsa, zjadłszy dostałem recydywy. Wyzdrowiawszy nareszcie, odwdzięczałem się zacnemu panu Pokubiacie za wszystkie jego starania i trudy koło mnie poniesione, dysputując z nim zawzięcie na temata polityczne i kłócąc się z nim co dzień prawie do upadłego.

Nie mogło być inaczej, bo on był rozsądny, wytrawny człowiek, trzeźwo i spokojnie sądzący rzeczy, a ja młody, gwałtowny a zapalony Napoleonista; gdym się najwięcej unosił, to on, nigdy nawet nie rozgniewał się na mnie; kłótnie nasze kończyły się zawsze tem, że ja, nagadawszy mu mnóstwo impertynencyj, zaperzony wylatywałem z pokoju, a w parę godzin później ochłonąwszy żonę jego upraszałem, aby w poselstwie odemnie męża przepraszała; w kłótniach gniewałem się na dobre, ale przeprosiny pewną satysfakcję mi sprawiały, choć byłem tak młody i naiwny, że kochać się w tej pięknej i dobrej kobiecie, ani przez myśl mi nie przeszło. Ona też jakby dziecko swoje mnie traktowała.

Moje dawne protektorki, u których zrazu wraz z Morawskim byłem umieszczony, także o mnie nie zapomniały; gdy mnie widziały tak ciężko chorego, uprosiły profesora akademji Dr. Michała Śniadeckiego, aby mnie odwiedził, nie chcąc polegać na zdaniu samego Dr. Mianowskiego. Dr. Śniadecki żył w przyjaźni z litewską gałęzią Rozwadowskich i tak poczciwie się znalazł, że wziąwszy mnie w kurację i opiekę, nietylko nic przyjąć nie chciał, lecz do swego mieszkania mnie chciał zabrać, o co z mojemi poczciwemi Pokubiattami prawie się pokłócili. Odzyskawszy zdrowie i trochę sił, okrutny miałem apetyt,

nigdy do syta najeść się nie mogłem. Państwo Pokubiattowie jadali obiad o 12-ej, Śniadeccy o drugiej. Zjadłszy u Pokubiattów, biegłem co prędzej na obiad do Śniadeckich. Dobrze mi bardzo było u tych zacnych ludzi, tylko nudziła mnie opieka kobiet dobrych. poczciwych, lecz jak się mi wydawało, zbyt drobiazgowo o mnie troskliwych; chcąc uchronić mnie przed uwagą policji, nie pozwalały mi prawie wychodzić, widywać się z kolegami; wszystko to było przeprowadzone serdecznemi sposobami, miłym przymusem, lecz mnie młodzika to krępowanie mojej woli burzyło, i zacząłem się już wewnętrznie buntować. Czasami gdy mnie pani Pokubiattowa brała na spacer, musiałem udawać jej służącego. Gdybym się był znalazł w tem położeniu o parę lat później, gdy już zrozumieć mogłem urok kobiecości, byłbym się z miłą chęcią poddał tej kobiecej niewoli, lecz wtedy tak mnie to nudziło, tak mnie gniewała drobiazgowa troskliwość kobieca, że w chwili rozdrażnienia zbuntowawszy się na dobre, zrobiłem *un coup de tête* i zameldowałem się sam, dobrowolnie do partji jeńców wojennych, złożonej z 500 ludzi i 24 oficerów, przeznaczonej do Georgiewska. a która miała wyruszyć z Wilna w najbliższym czasie.

Marszałek szlachty, Łapa, dał każdemu oficerowi, ze składek obywatelskich, oporządzenie i po 100 rubli na drogę, ja niebrałem wyprawy, tylko płaszcz, więc mi dodano, jako ekwiwalent, jeszcze 100 rubli Pan Pokubiatta dał mi oprócz tego jeszcze z kasy Radziwiłłowskiej 1000 rubli; były to ruble tak zwane miedne (zredukowanej wartości) lecz i tak dobrze i sowicie zaopatrzony byłem. Poszliśmy do Mińska, ztamtąd zemknął do Galicji kolega, porucznik Terlecki, a mnie zostawił swoję garderobę. — Pan Rejtan obywatel z okolicy, dał kolegom Woroniecki emu i Korejwie wózek i jednego konia, ja dokupiłem drugego i tak na wspólnym wózku odbywaliśmy podróż.

Towarzysze moi, byli to ludzie światli, bardzo wy-

kształceni, obyci i gładcy towarzysko; choć obaj masony, miłe i pouczające z nich miałem towarzystwo; Woroniecki był człowiek co się zowie wzrowy, Korejwa filut i zapamiętały gracz; wyperswadował mi, żebym dla bezpieczeństwa jemu oddał w depozyt moje fundusze. Oddawszy, nie śmiałem potem upominać się o zwrot lub o częste rachunki, i tak się stało, że ja nie grając i nic prawie nie wydając, w krótkim czasie zostałem bez grosza, Korejwa wszystko przehulał lub przetracił; nie bardzo mnie ta strata obeszła, nie dbałem o pieniądze, bo zawsze umiałem na małem poprzestawać, a młodość moja i zaszczytne kalectwo, jednały mi sympatję ludzi; nigdy mi na niczem nie zbywało, więc pieniędzy nie potrzebowałem. Przybywszy do Charkowa, odebraliśmy rozkaz pozostać tamże, a wkrótce wysłano nas do Achtyrki, miasta powiatowego, gdzie znajduje się także cudowny obraz Matki Boskiej. W Achtyrce zastaliśmy już doktora Netlickiego, któren potrafił w krótkim czasie wyrobić sobie ogromną reputację i klientelę.

Zjeżdżali się też licznie i często do Achtyrki okoliczni obywatele, jedni dla doktora, a drudzy dla cudownego obrazu. Stosunki zawiązywały się tedy łatwo, bo okazje były codzienne, od dzieciństwa mówiłem z łatwością po rusku, w niedługim czasie wyuczyłem się doskonale po rosyjsku, a mówiąc z Moskalami ich rodzinnym językiem, jednałem sobie ich sympatję; i wchodziłem z rodzinami okolicznych obywateli w prawdziwie zażyłe, prawie przyjaźne stosunki, zwłaszcza że nie miałem dla nich żadnej nienawiści narodowej, wrogiem było mi, dławiące nas państwo moskiewskie, ale Moskali znalazłem dużo ludzi dobrych i prawdziwie polubiłem wielu. W karty nie grałem, tytoniu nie paliłem, więc głównie w kobiecem towarzystwie się bawiłem, one były ze mnie kontentne, a ja także się z niemi nie nudziłem.

Dla znajomości języka rosyjskiego dostało się mnie

polecenie wybierania pieniędzy miesięcznych i wyznaczania kwater dla całej partji; to też rozglądnąwszy się już w mieście po kilku miesiącach, przeznaczyłem sobie kwaterę u młodej, ładnej kapitanowej, której mąż był przy armji. Romansiku nie prowadziłem z nią żadnego, choć mi koledzy i wierzyć nie chcieli, i zazdroszcząc wyśmiewali potrosze; lecz było mi u tej poczciwej, dobrego serca kobiety jak to mówią: „jak u pana Boga za piecem"; tylko z elegancją była bieda, bo garderoby odnowić lub dokompletować nie było sposobu, czasy były takie, że mając jedne tylko jasne szarawarki, sam je sobie prać musiałem, a siedząc w sadku na trawie czekać póki nie wyschną. Pieniądze moje przepadły u Korejwy, grosza prawie przy duszy nie miałem, a postanowiwszy sobie zaraz pierwszego dnia nie przyjmować nic od nikogo z miejscowych, dla zachowania niezawisłości i własnej godności, święcie tego postanowienia dotrzymałem, choć czasem, przyznam się że mi ciężko było. Ale żadnego, nawet z moich przyjaciół Moskali nigdy o nic nie prosiłem i nigdy nic od żadnego nie wziąłem.

Od początku kampanji nie dałem rodzicom żadnej o sobie wiadomości, prócz biletu, posłanego przez owego oficera węgierskiego ze sztabu Szwarzenberga; najlepszy mój ojciec dowiedziawszy się o klęskach i rejteradzie naszej armji, wyjechał naprzeciwko mnie aż do Warszawy ze świeżemi końmi i zasiłkiem pieniężnym; od nikogo nie mógł się dowiedzieć, czym zginął, czy zmarzł, czy do niewoli się dostał, bo nie wróciłem, a koledzy z mojego pułku, od Wilna już mnie nie widzieli. Nie mogąc tedy żadnej o mnie dostać wiadomości, zabrał ojciec do siebie nominację moję na porucznika, właśnie wtenczas wydaną (otrzymałem ją mając lat 18); dalej dokumenta co do mojego krzyża legji honorowej i krzyża wojskowego polskiego, i powrócił do domu. Przez cały rok nie przestawał ojciec dowiadywać się o mnie, nie szczędząc trudów oso-

bistych pomimo cierpienia i wieku już podeszłego, pisał na wszystkie strony, pytał każdego wojskowego, którego spotkał, aż wreszcie spotkał Stefana Zapolskiego, który brata swego Cyprjana w Achtyrce odwiedzał, i od niego dowiedział się, że ja żyję i w dobrem zdrowiu spokojnie w Achtyrce siedzę.

Nie zważając na moje niedbalstwo i lekkomyślne milczenie, wyprawiła mi matka natychmiast bieliznę a ojciec 100 dukatów. Bieliznę odebrałem w bardzo krótkim czasie, bo została wprost do mnie wysłaną, zaś listy i pieniądze daleko później, bo te musiały kołować aż przez biura petersburskie. Póki byłem bez grosza, byłem wesół i bez troski, jak tylko otrzymałem zasiłek ojcowski, zacząłem się turbować i przemyśliwać, jakby te pieniądze najbezpieczniej na podróż do domu w całości przechować, bo wiedzieliśmy już, że w niedługim czasie mamy być uwolnieni i napowrót do kraju puszczeni; nie ufałem sobie, czy tych pieniędzy w wesołem usposobieniu nie stracę, nie rozdam lub nie rozpożyczę Nadspodziewanie szybko znalazł się opiekun na moje 100 dukatów.

Piotr Remiszewski, krewny Wasilewskich, przyjaciel naszej rodziny był razem ze mną w Achtyrce, widząc że chodze zasumowany, wywiedział się odemnie łatwo o przyczynie mego zakłopotania, a jeszcze łatwiej wytłumaczył mi, że u niego, znacznie starszego i stateczniejszego odemnie, pieniądze daleko lepiej i bezpieczniej przechowane będą. Oddałem mu moje 100 dukatów w dobrej wierze, a on w krótkim czasie je przetracił, zapewniając mnie ciągle, że je ma w całości. Kazać je sobie pokazać wstydziłem się, niechcąc mu uchybić brakiem zaufania.

Na parę miesięcy przed nadejściem uwolnienia zostaliśmy przeniesieni z Achtyrki do miasta powiatowego Sumy, robiąc miejsce w Achtyrce dla wziętej do niewoli załogi Gdańska. Mając w okolicy Achtyrki wielu znajomych, od których nawet dowody szczerej życzliwości otrzy-

małem, nie mogłem opuścić miasta nie pożegnawszy się z niemi, jeździłem tedy z pożegnalnemi wizytami, gościnnie przyjmowany a serdecznie żegnany od dworu do dworu; w tej peregrynacji zaczęło mi puchnąć oko wysadzone pod Tarutino; przypisywałem to zaognienie się dawnej rany wstrząśnieniem kibitki w obecnych przejazdach.

Z razu napuchnięcie było nieznaczne, lecz wkrótce się wzmogło, tak, że na wieczorze u marszałka powiatowego w Achtyrce podeszła do mnie siostra gospodarza, mówiąc: pożałujties, głazo wam bolsze opuchło (pozwól pan, ałe oko panu mocno opuchło); odpowiedziałem, że odnawianie się rany jeszcze często mi we znaki się daje, i nie zwracając uwagi na to, że widok opuchniętego oka (opaski wówczas jeszcze nie miałem) innym nie miły być może, zostałem do godziny dosyć późnej. Nazajutrz rano, przeglądnąwszy się w źwierciadle, zobaczyłem dopiero, że to kula, która dotychczas głęboko w jamie ocznej siedziała, usunąwszy się, już z pod opuchniętej powieki do połowy się pokazała. Z pewnym tryumfem obiegłem kolegów, pokazując im ten dowód namacalny; bo podczas mojego pobytu w Achtyrce, kilkakrotnie mi się wydarzyło, że koledzy nie chcieli mi wierzyć, jakobym stracił oko od postrzału, uważając taką ranę za nieprawdopodobną, więc mi przeczyli, a przeczeniem swym do gniewu doprowadzali. Teraz mając dowód oczywisty, gdyż kula do połowy w oku siedząca, wszystkim była widoczna, tryumfowałem nad niedowiarkami.

W kilka dni kula własnym ciężarem o tyle się wysunęła, że tylko jednym dziubkiem oddartego ołowiu w oku się trzymała; poszedłem do chirurga, aby mi ją wyjął, ten zaczął dobierać instrumentów, ja się zniecierpliwiłem, i palcami chwyciwszy, sam kulę wyrwałem.

Objeżdżając dalej okolicę, z wizytami pożegnalnemi, nadjechałem do jednego z okolicznych obywateli w chwili, gdy mu jeden z naszych wojskowych, niejaki Siodełkie-

wicz, sprzedawał w niewolę współtowarzysza broni, żołnierza, niejakiego Smoleńskiego, któren nic a nic po rosyjsku nie rozumiejąc, biernym tego targu był świadkiem, ani się domyślając, o co rzecz idzie. Wsiadłem z góry na podłe indywiduum, zbesztawszy należycie żądałem, aby go wyrzucono za wrota dworku, a naiwną ofiarę zabrałem z sobą, już się mnie biedaczysko trzymał potem i na krok nie odstępował; przywiozłem go wracając do kraju, z sobą, aż do Łosiacza, gdzie wówczas stryj mój Franciszek zamieszkiwał.

Przyszedł wreszcie rozkaz, aby nas uwolnić, i do miejsca zamieszkania wyprawić. Nas Galicjan, których było kilkudziesięciu, pokierowano ku granicy do Radziwiłłowa, lecz że marsz szedł bardzo wolno, etapami, postarałem się o pozwolenie podróżowania pocztą, o własnym koszcie. Idę do Remiszowskiego, żądam, aby mi oddał mój depozyt, a tu zdechł pies, ze stu dukatów nie ma ani grosza. Kręcił się biedaczysko, aby to jakim sposobem załatać, że aż mnie się samemu go żal zrobiło, chciał pożyczyć, ale nikt mu zawierzyć nie chciał, dopiero na mój podpis, pożyczył miejscowy gubernator 200 rubli

Pożegnawszy się jeszcze raz ze wszystkiemi, a czule z kobietami, ruszyliśmy obydwa z Remiszewskim, a ze Smoleńskim na koźle, na Połtawę do Kijowa. W Kijowie zastałem wuja Golejewskiego, i wielu znajomych mego ojca dalszych i bliższych. Remiszowskiemu dałem 12 dukatów i pojechał sam dalej, mnie zaś w Kijowie było tak dobrze, żem tu dopiero, jak to powiadają, odużał. *) Najznakomitsi obywatele, śliczne i miłe kobiety, nawet figury urzędowe, na wyścigi mi dawały dowody uprzejmości, pewnego starania, aby mnie uraczyć, zrobić mi przyjemność. Po odjęciu bandaży, nałożonych na oko po wyjęciu kuli, chodziłem z okiem nieprzewiązanem, panny

*) Odużał, znaczy po rusku: przyszedł do sił, ozdrowiał.

Proskurzanki zrobiły i ofiarowały mi pierwszą przewiązkę (do śmierci ją zachowam).

Ja w zamian ofiarowałem im moję kulę, która przepaskę potrzebną uczyniła. Lekceważyłem sobie trochę tę pamiątkę, nie wiele o nią dbałem, bo mając wówczas 19 lat, a zamierzając dalej służyć wojskowo, byłem tego przekonania, że niejedna kula jeszcze w ciele mojem uwięznąć musi.

Kalasanty Zagórski dał mi cztery konie z obowiązkiem, abym mu za nie w Tarnopolu umówioną cenę zapłacił, lub konie mu do Bucniowa odstawił. Puściłem się tedy w podróż z Kijowa już własnemi końmi; w drodze wstąpiłem do kuzyna matki mojej, Szczeniowskiego, niedaleko Winnicy, ten wybierał się do Kamieńca na wybory i mnie tam z sobą zawiózł. Marszałek, obywatele wszyscy z rąk mnie sobie wyrywali, gościli mnie tak uprzejmie, tak serdecznie, że wyjechać nie było sposobu. 14 dni tam siedziałem, dopiero 15-go dnia zamówiwszy sobie cichaczem konie i wyprawiwszy je z rzeczami i Smoleńskim w umówione miejsce za miasto, formalnie uciekłem z obiadu u marszałka Raciborowskiego.

Nadedniem przyjechałem do stryja mego, Franciszka, do Łosiacza; w domu wszyscy spali jeszcze, zaszedłem więc do ekonoma, pana Bilińskiego, który był ożeniony z dawną panną służącą mojej matki; oboje ludzie szczerze rodzinie naszej oddani, którzy mnie jeszcze w pieluchach na ręku nosili. Jeszcześmy się nie uspokoili ze wzruszenia pierwszego powitania, gdy nadeszli i sami stryjostwo, którym ktoś dał znać o mojem przybyciu, choć to było jeszcze przed świtem; przyszli oboje, oboje z razu mnie poznać nie mogli, i trzeba było pewnego czasu, nim się z moją jednooką twarzą znowu oswoić zdołali.

Od stryjostwa dowiedziałem się co się w kraju i w rodzinie przez czas mojej nieobecności zmieniło; dowiedziałem się, że mi przybyło dwóch braci, Wiktor w 1812-ym,

a Franciszek w 1813-ym roku; że siostra moja Anna wyszła za Jacka Czechowicza i jednocześnie prawie z urodzinami najmłodszego brata powiła córkę. Bawiłem kilka dni u stryjostwa w Łoszniowie; granica Galicji była wówczas w Buczaczu; stryj zawiózł mnie do Trybuchowiec, do Długoborskiego, ten nas w Buczaczu przez granicę austrjacką przewiózł i sam z nami do Krasińskiego, kolegi i ojca i mojego, pojechał. Tam przybyli i rodzice, którzy, uprzedzeni już o mojem przybyciu, czekali w Pałaiczach u Czechowiczów. Nie ma co wspominać o rozrzewnieniu jakie towarzyszyło naszemu powitaniu, każdy to łatwo zrozumie i odczuje, jeżeli się w mojem położeniu postawi. Siostry mojej młodszej, Tekli nie poznałem, byłem pewny że to Anna, starsza, wówczas Jackowa Czechowiczowa. Po kilku godzinach wyruszyliśmy wszyscy ku Pałaiczom. na milę może od tej wsi spotkaliśmy liczne towarzystwo, które na nasze spotkanie wyjechało; kilkunastu mężczyzn na koniach towarzyszyło damom, między mężczyznami kilku oficerów, huzarów z pułku Blankenstein (obecnie Württemberg), witano mnie jakby bohatera jakiego, czem mnie tak skonfundowali. że zacisnąwszy się w kąt budki, z nikim nie rozmawiałem, lecz całą myśl miałem skierowaną ku temu, aby mnie nikt nie widział.

Nigdy nie byłem fanfaronem, od najpierwszej młodości wystrzegałem się tej wady, która u innych była mi wstrętną, nieznośną; nie poczuwałem się do żadnych szczególnych zasług, widziałem przeszło miljon ludzi, którzy przebywali te same boje, te same trudy, te same niewygody co i ja, a wieluż to było daleko lepszych odemnie. Że straciłem oko, nie wydawało mi się zasługą, a nawet nie zbyt wielką rzeczą, bo wieluż to znałem, co daleko więcej przecierpieli; myśl, że tyle tysięcy starych doskonałych żołnierzy, z którymi nigdy zrównać się nie śmiałem, nałożyło głową, a mnie młodzika, tu, jakby try-

umfatora jakiego witają, tak mnie męczyła i żenowała, że kryłem się w budzie formalnie zawstydzony.

Wypytywali się mnie o przebieg kampanji, a nie wiele się odemnie dowiedzieć mogli; miałem głowę natłoczoną świeżem wspomnieniem tylu nadzwyczajnych obrazów, że nie wiedziałem, od czego zacząć, co przedstawić jako najbardziej godne opowieści; obrazy walk, pola bitw, spowszedniały mi, i tak szukając w pamięci, coby tu opowiedzieć nic na razie znaleść nie mogłem. Gdyby kto był określone, kategoryczne stawiał pytania, jak po nitce wszystko byłby mi wysnuł z kłęba wspomnień, chaotycznie w umyśle mi się plączących. Tak to u młodego, mającego oczy zwrócone ku przyszłości, a spodziewając się od niej, Bóg wie czego, przeszłość i dola przebyta, choćby najcięższa i najbardziej pamięci warta, na razie mało znaczy

Wpadłem do Pałaicz w odmęt zabaw, jak w wir jaki. Siostrę moję, świeżo po połogu, odwiedzały ciągle, liczne a miłe i ładne sąsiadki; szwagier mój Jacek Czechowicz nadzwyczaj gościnny, a lubiący towarzystwo wesołe, nie wypuszczał z domu liczniejszego grona mężczyzn. Kawalkaty, polowania, różne igrzyska rycerskie, wieczorem tańce z gęstemi kielichami, i często szalonemi następstwami, w konceptach podchmielonych pałek: oto obraz codziennego życia ówczesnych Pałaicz; mnie to bawiło bardzo, brałem udział szczery w każdej zabawie; ale w głębi serca ciągle mnie dręczyła myśl, jakby to najprędzej znowu do pułku się dostać.

W. książę Konstanty zaczął wówczas formować wojsko polskie; od każdego z 9ciu pułkowników, którzy podostawali pułki jazdy: Kurnatowski, Antoni Potocki, Suchorzewski, Marcin Tarnowski, Kossecki, Tomicki, Dwernicki, Madaliński i Kozietulski otrzymałem na ręce ojca pochlebne wezwanie z zapytaniem, czy mogą mnie zaliczyć do oficerów swego pułku; dowiedziałem się później dla-

czego, oto zwrócił uwagę w. księcia mój stan służby z zaszczytnym wymienieniem całego szeregu potyczek i wielkich bitew, że twardo dosługiwałem się mego porucznikostwa, a otrzymawszy je w 19tym roku, byłem kilkakrotnie ranny, bez oka, i dwa razy dekorowany: krzyżem legji honorowej i virtuti militari.

Gdy w. książę na kogo uwagę zwrócił, starano się na wyścigi o pozyskanie tego indywiduum, i często wytwarzała się między komendantami pojedyńczych pułków, prawdziwa w tym względzie rywalizacja; stąd też poszła i ta konkurencja o mnie. Mnie się zdawało, że najstosowniej postąpię, trzymając się dawnego pułku, a raczej pułku, do którego dawni moi koledzy z 8go pułku ułanów, wraz z ostatnim komendantem Antonim Potockim, wcieleni zostali. Zgłosiłem się tedy do pierwszego pułku strzelców konnych, pod komendę pułkownika Antoniego Potockiego, i z końcem listopada 1814 r. do Warszawy wyjechałem.

Zastałem usposobienie oficerów w pułku bardzo przybite i bardzo nie dobre, wszyscy starsi oficerowie nie mogli przenieść na sobie myśli, że służą pod Moskalem, a nieznośną im była mechaniczna, bezduszna służba, składająca się z musztry, służby garnizonowej i parad, wszystko to prowadzone z dokuczliwą pedanterją, samowolą, zaprawioną bezprawiem na każdym kroku; gnieciono każdy objaw ducha, gdy dawniej, wszyscy, honor i duch wojskowy za swoje bożyszcze uważali; teraz na bezduszne, niewolnicze maszyny nagiąć się nie mogli.

Pomijając pierwszy szkopuł: poczucie, że nie pod swoim wodzem służę, reszta służby, tak dokuczliwa dla starszych, mnie właśnie zajmowała i bawiła; lubiłem nadzwyczajnie akuratność i porządki wojskowe; wziąłem się gorąco do nauki regulaminów i przepisów służby, a że pamięć miałem dobrą, było mi to nie trudnem. Prezencję miałem nie złą, konie dobre, a że zrobiwszy swoje, o nic

nie dbałem i niczego się nie obawiałem, nabyłem spokoju i pewności siebie, zwłaszcza gdy mnie kilkakrotnie za doskonałe pełnienie służby z odznaczeniem wymieniono; gdy inni koledzy turbowali się co wielki książę powie, jaki będzie miał humor i z tego powodu głowy tracili, ja sobie spokojnie występowałem, bo sobie nic z tego wszystkiego nie robiłem. Czułem za sobą przeszłość wojskową, której mi nic odebrać nie mogło, teraz uważałem służbę za wojskowe ćwiczenia, występy i paradę za wojskową zabawkę; myślałem sobie: pewny jestem, że zrobiłem co do mnie należy, będzie kontent, to dobrze, a nie, to mi także wszystko jedno. Gdy przyszło pierwszy raz wystąpić przed wielkim księciem, kapitan tak się obawiał humorów wielkiego księcia, że zrobił się słabym, a mnie polecono komenderować i zaprezentować szwadron. Komenderowałem sobie tak jak codzień, i dlatego wszystko poszło bardzo dobrze, od tego czasu życzliwie mnie pamiętał wielki książę; nigdy przed naszym frontem nie przejechał, żeby mnie przyjaźnie nie przywitał; a co roku, gdyśmy przybywali na rewję do Warszawy, dodawał mi pochwałami ochoty do służby; ale i zazdrośnych mi robił, których potem godzić i pozyskiwać musiałem; gdy odezwał się przed frontem swoim chrapliwym głosem: Patrzcie na R.., lepiej pełni służbę i lepiej widzi jednym okiem jak inni dwoma.

W roku 1815-tym gdy cesarz Aleksander pierwszy raz przyjechał do Warszawy, mnie wykomenderowano z pułku na pierwszą konną wartę. Pluton od warty stał zwykle pierwszy na prawym skrzydle w ordre de bataille.

Cesarz się przedemną zatrzymał, pytał gdzie oko straciłem i zadał jeszcze kilka innych pytań, na które po części wielki książę, nie dając mi przyjść do słowa, jako dobrze mnie znający odpowiedział. Ledwie że cesarz odjechał, mnóstwo generałów mnie obskoczyło, wypytując co cesarz do mnie mówił, kto jestem etc. etc, stałem się człowiekiem dnia w armji, wszedłem w modę.

Generał Kurnatowski zaproponował mi tego samego dnia, abym wszedł w tym samym stopniu do jego pułku gwardji, znaczyło to awans o jeden stopień. Podziękowałem mu bardzo pięknie. ale nie przyjąłem propozycji; nie chciałem opuszczać pułku, w którym miałem tylu przyjaciół i w którym przyjemnie służyłem, a potem żenowała mnie ta protekcja i awans raptowny, bez żadnej dobrej racji. Gdyby propozycja była wyszła od mojego pułkownika, to byłbym ją przyjął, bo to byłoby poniekąd uznaniem i propozycją komendanta na wyższy stopień, a tak mógłby czuć się dotkniętym, że rozporządzam się moją osobą, jego zdania nie zasięgnąwszy. Zresztą żal mi było i mego plutonu, który sobie z doskonałych żołnierzy dobrałem, a mogłem to zrobić, bo de facto, ja komendę szwadronu prowadziłem już od dłuższego czasu.

Pierwszy kapitan Maćkiewicz rozpił się był. Drugi, Dąbrowski, pochodzenia tatarskiego, nie miał konia i munduru paradnego; więc z kolei mnie komenda szwadronu przypadła.

Pamiętny to był rok, ten 1815 dla naszej nowej armji polskiej; był to pierwszy rok przebyty pod moskiewskiem obuchem, pod tyrańskim i dziko fantastycznym dowódzcą. Nie mogąc znieść brutalnego, hańbiącego honor wojskowy postępowania zwierzchników, 74ch oficerów w jednym roku życie sobie odebrało; z naszego pułku strzelców konnych padło ofiarą czterech. Między żołnierzami, wychowanemi w tradycjach napoleońskich, ceniącemi swój honor wojskowy na równi z oficerami, a traktowanemi nierównie gorzej jeszcze, samobójstw było bez liku. Przytoczę tu kilka faktów, których prawie bezpośrednim byłem świadkiem. W. książę kazał dać kije podoficerowi od warty za jakieś małe uchybienie w służbie, bo dość było zdjąć rękawiczki będąc na warcie, choćby siadając do objadu, a już nawet i oficera ostra za to czekała kara. Podoficer skrzywdzony barbarzyńską

karą, powiesił się przed koszarami, jak tylko zeszedł z warty; gdy koledzy w najwyższym stopniu wzburzeni, zdejmowali ofiarę. nadchodzi jakiś Moskal i przekpiwając odzywa się: Niczewo! Niczewo! Tak wy wszystkie Polaczki musicie wisieć; w tej chwili kpiącego Moskala zabito na miejscu, inni Moskale przyszli w sukurs, wszczęła się bójka między wojskowymi, która przybrała ogromne rozmiary; kilkunastu było zabitych a kilkudziesięciu rannych, cała Warszawa wyległa na ulicę, chcąc stanąć po stronie swojego wojska, bo lud tamtejszy wojsko nasze jak braci uważał i jak braci traktował. W. książę obawiał się więc użyć siły zbrojnej, aby nie wywołać walki dwóch armij na serjo; lecz wysłał lubionego przez wszystkich generała Stanisława Potockiego, a ten moralnym wpływem swoim wzburzone umysły uśmierzył. Szkoda, że tak nieszczęśliwie próbował tej samej roli później. w nocy 29 listopada; — Szkoda! bo żył poczciwie, kochał kraj i miał najlepsze chęci.

Drugi wypadek był taki: Żołnierz stojący na moście pragskim na warcie, schował się podczas ulewnego deszczu do budki na ten cel przeznaczonej; major moskiewski przechodził tamtędy, a będąc zdaje się, niezbyt trzeźwy. zaczął żołnierza beształ od ostatnich słów, że mu nie dość szybko oddał honory wojskowe; żołnierz stał i milczał, a rozbestwiony Moskal uderzył go w twarz. — W tej chwili żołnierz przebił go bagnetem, a sam wskoczył do Wisły i utonął.

Takich wypadków było mnóstwo; a pojedynków, między naszemi a rosyjskiemi wojskowemi codzień było kilka; najczęściej kończyły się te spotkania na korzyść naszych; co fantastycznej, dziwacznej naturze w. księcia podchlebiało, bywał wtedy w dobrym humorze i mawiał, że mu nasi Moskali cywilizują i na rycerzy pasują.

Służbę moję pełniłem dalej z zamiłowaniem, przez to miałem mało wolnego czasu, mniej pokusy do lampar-

terji, nieporządnego życia i włóczenia się po miejscach publicznych; w karty nie grałem i tytoniu także nie paliłem; wolny czas zabierało mi platoniczne podkochiwanie się w miłych panienkach. W Warszawie wzdychałem do panny Szymanowskiej, a w Warcie, na zimowych leżach, do panny Czarnkowskiej. Nie żałuję tych chwil mojego młodego wieku, owszem do najmilszych je liczę, a towarzysko dużo tam zyskałem. Ojciec mój nie był kontent z mojej służby. Bolało go i nie mógł znieść myśli, że służę pod Moskalem, pod komendą wroga, przeciwko któremu on przewalczył całe życie pełne trudów; patrząc na ślady swoich ran nieznośnem mu było, że jego własna krew w nieprzyjaciela ręku służy. Kilka razy wzywał mnie do porzucenia służby, z razu łagodniej, bo nie wiedział, jakie w domu dla mnie stworzyć stanowisko, a potem w sposób co raz bardziej stanowczy. Gdy ja z razu prosiłem się by zostać, a potem nie odpowiadałem, ojciec chciał mnie zmusić pośrednio, utrudniając mi służbę i przez dwa lata żadnego zasiłku pieniężnego umyślnie mi nie przysyłał.

Wymagano od nas ciągłej parady, ja obdarłem się powoli, koń jeden mi zdechł, dwa inne musiałem sprzedać aby żyć; nie mogłem już ciągnąć dalej i spuściwszy z tonu musiałem ojca prosić o pomoc. Wtedy przysłał mi ojciec przez jadącego do Warszawy sąsiada, Lewickiego z Borszczowa, 60 dukatów na oporządzenie się i na drogę, bo wzywał mnie, bym przyjechał za urlopem do domu, dodając w liście, że mogę jednocześnie podać się o dymisję.

Będąc posłuszny ojcu, podałem się o nią, lecz ówczesny pułkownik mój, Jankowski, generał Rożniecki, a wreszcie sam wielki książę namawiali mnie, abym w służbie pozostał i moje podanie o dymisję cofnął. Wielki książę kazał mi dać 3-miesięczny urlop, wypłacić całoroczną pensję z góry, a żegnając mnie, gdym się na wyjezdnem meldował, tak mnie za serce ujął, że nietylko

zaniechałem myśli porzucenia służby, ale formalnie z pewnem uczuciem przywiązania do niej i do osoby wielkiego księcia zapominając o wszystkich jego nadużyciach, z Warszawy wyjeżdżałem.

Na święta Bożego Narodzenia w roku 1818 wyjechałem do rodziców, podówczas mieszkających w Głęboczku. Podczas świąt zetknąłem się z całą rodziną i sąsiadami, przyjaciółmi, krewnymi; wszystkie rodziny, które na początku moich wspomnień jako patrjotycznych współpracowników i przyjaciół ojca mojego wymieniłem: Golejewscy, Horodyscy, Koziccy, Podlewscy i inni gęsto w Czortkowskiem osiedli, wszyscy znaleźli się podczas świąt pod dachem mojego ojca. W rozmowie chwaliłem służbę wojskową i osobę wielkiego księcia, na którego oni, za jego tyrańskie wybryki, nadzwyczaj byli oburzeni. Ojciec ogromnie się zmartwił, słysząc te moje pochwały, bo dostrzegał w mojem ówczesnem usposobieniu zarody skłonności do rzemieślniczej żołnierki, bał się bym nie wyszedł na bezmyślnego żołdaka, i w tej chwili powziął stanowczy zamiar więcej mnie już z domu nie wypuścić. Na jego stanowcze żądanie ponowiłem moje podanie o dymisję, a w otoczeniu domowem, w codziennej styczności z poczciwemi szlacheckiemi rodzinami mojej okolicy zmieniłem sposób myślenia; znalazłem znowu cel prawdziwy życia i stałem się napowrót prawdziwym Polakiem i obywatelem kraju.

Antoni Rozwadowski.

Część II.

II.

Kazawszy mi w domu pozostać i wziąść dymisję, ojciec starał mi się uprzyjemnić wszelkiemi sposobami pobyt w domu rodzicielskim; liczne a przyjaźne i miłe domy sąsiedzkie uprzyjemniały życie towarzyskie.

W domu, siostra moja Tekla, z którąśmy się bardzo kochali, pobyt miłym mi czyniła, przestałem żałować służby.

Miły ten spokój rodzinny, niebawem został zakłócony. O siostrę moję Teklę, zaczął się starać i uzyskał jej serce, młody człowiek niedaleko mieszkający A. M., przystojny bardzo i osobiście dobry i poczciwy; lecz ojciec słuszne miał powody sprzeciwiać się temu związkowi. Biedna siostra moja całą duszą przywiązała się do ukochanego; zaczęła zapadać na zdrowiu; a gdy matka wymogła na ojcu zezwolenie, nie długo cieszyć się mogła upragnionym związkiem; bo w trzy kwartały po ślubie umarła.

W roku 1822 ożeniłem się z Teklą Czechowiczówną, i razem z żoną osiedliłem się najprzód w Dawidkowcach w Czortkowskiem, po trzech leciech zamieszkałem w Pałahiczach w Stanisławowskiem, a po roku 1831 w kupione majętności Turówce

W roku 1825 rozkrzewił się był w całej Galicji tak zwany: związek patrjotyczny polski. Rząd austrjacki, postępując dwulicowo, nie tamował jego rozwoju, zdawało się nawet, że mu sprzyja. Należeli do niego ludzie znani ze swojej obojętności dla spraw polskich, a usposobienia schlebiającego władzy, jak: Krosnowski z Zagrobeli Józef

Kownacki z Ponikwy i inni *). A gdy zaaresztowano we Lwowie Strzelbickiego i znaleziono przy nim papiery związku, kompromitujące prawie całą szlachtę galicyjską a na czele ks. Henryka Lubomirskiego; konsyliarz gubernialny Krauss (dzisiejszy minister br. Krauss) potrafił tak pokierować śledztwo i umiał rzeczy ubrać tak zręcznie w niewinną formę, że i Strzelbickiego uwolniono i nikogo więcej do odpowiedzialności nie pociągano. Ja z razu nie należałem do związku, gdyż przykrą i upokarzającą było dla mnie formalnością żądana od przystępujących do związku przysięga, że na każde zawołanie stanę w szeregu obrońców ojczyzny; trudno mi było decydować się składać taką przysięgę, i to w ręce młodzików, bo przecież dałem dowody że w szeregach stanąć jestem gotów, zmienić się nie zmieniłem, po cóż więc ta upokarzająca, a jak się potem wkrótce pokazało, czcza formalność; bo właśnie z tych, którzy solennie przysięgali, ledwie dziesiąty do wojska narodowego wstąpił. Ostatecznie przełknąłem pigułkę, przemogłem się i przystąpiłem do związku; podzielono nas na gminy; jednę gminę składało dziesięciu członków.

Po wybuchu powstania w roku 1830 z gminy, do której ja należałem, tylko ja i Łaszowski uważaliśmy się za obowiązanych wyruszyć do armji, reszta mimo przysięgi przycupnęła w domu, i taki stosunek był mniej więcej we wszystkich gminach tej niefortunnej organizacji.

Położenie moje było dość niemiłe; chociaż interesa moje były w porządku i długów nie miałem ani grosza, bo zawsze myśląc o możliwym wybuchu powstania, pamiętałem o tem, aby być z interesami w porządku; lecz gotówki zapaśnej w owym czasie nie miałem.

---

*) Za to stryjeczni bracia Józefa, Stanisław i Konstanty Kownaccy byli gorliwi patrjoci i tędzy oficerowie w armji w roku 1830.

Nikomu nic nie mówiąc, zwierzyłem się z moich zamiarów i z mego kłopotu siostrze, Annie Czechowiczowej. Jej sprzedałem miedź z aparatu mojej gorzelni za 120 dukatów; z połową tego funduszu wyjechałem z domu 15-go grudnia, jakby na parę godzin, do rodziców, do Rożysk.

Droga była przedzimowa, fatalna, łatwo więc żonę uprosiłem aby została w domu; wziąłem 4 mierzynki i 2 chłopaków; list do żony i 60 dukatów zostawiłem u rodziców, prosząc aby to do Pałahicz odesłano; od ojca wziąłem dla siebie jeszcze 50 dukatów i tak bez konia wierzchowego puściłem się w drogę, lecz wprzód wstąpiłem do Milowiec, do brata mego Wincentego. który był jeszcze kawalerem, dużo miał z ludźmi stosunków, sądziłem tedy, że on więcej wie i jakieś bliższe objaśnienia o powstaniu mnie dać będzie mógł.

Pojechałem do Milowiec z siostrą Czechowiczową, ale brata Wincentego już tam nie zastaliśmy, bo na pierwszą wieść o wybuchu powstania w Warszawie wraz z młodszym bratem Wiktorem, nic nikomu nie mówiąc, natychmiast do Polski wyjechał. Jadąc w kierunku ku granicy Królestwa, ná Złoczów, Toporów, ku Sokalowi, nieraz rozmyślałem o przyszłości, która mi się ponuro przedstawiała. Z gazet wiedzieliśmy, że powstanie rozwija się bardzo powoli, a ruch rewolucyjny jeżeli nie postępuje naprzód i to bardzo szybko, to fatalnie cofać się musi. Rzeczywistych zamiarów i usposobienia rządu austrjackiego nikt nie znał i nikt nie był pewny jak się rząd w najbliższym czasie w obec nas zachowywać będzie Słowem jechałem naprzód pod presją poczucia obowiązku, ale bez zapału i bez wielkiej wiary.

W Tuturkowicach, u Chamca, przygotowywałem się do przejścia granicy, stąd posłałem do żony jednego z chłopaków z listem pożegnalnym i wiadomością, że przechodzę granicę Królestwa.

Oprócz swoich koni poprowadziłem z Tuturkowiec

jeszcze 8 koni wierzchowych ofiarowanych przez obywateli galicyjskich dla wojska narodowego. Chamiec dodał mi służącego znającego okolicę i z nim przebyliśmy granicę koło wsi Hołubie, gdzie sucha granica do Bugu przytyka, a Bug na północ się zwracając, już tylko rozgraniczenie między Królestwem a Wołyniem stanowi.

Bug był wówczas już zamarznięty; o 300 kroków od dworu hołubskiego stali kozacy, patrząc jak z końmi dalej w kraj odjeżdżam; front armji moskiewskiej był wyciągnięty wzdłuż Buga. Wzdłuż tej rzeki i wzdłuż ich frontu na Kryłów, Czumów, jechałem do Hrubieszowa, nikt mnie nie zaczepiał, bo nie było zakazu przekraczać granicę. W Hrubieszowie zastałem kilku dawnych kolegów z armji napoleońskiej: Władysława Rulikowskiego, dawnego oficera artylerji (był w załodze broniącej Gdańska), Bromirskiego oficera piechoty, który obecnie był komisarzem obwodowym w Hrubieszowie. Ci przyjęli mnie przyjaźnie i serdecznie, ale z pewnem zdziwieniem, sądząc moje zjawienie się jako czyn niepotrzebny a co najmniej przedwczesny.

Strasznie zimno i pessymistycznie zapatrywali się oni na powstanie; nie upatrywali szans powodzenia, więc może też i nie na rękę im było, że ja z dalekiej okolicy, z za kordonu przybyłem, gdy oni, w Królestwie zamieszkali, jeszcze w domu siedzieli; poczuwali się sami do większych obowiązków, a nie mieli ani wiary, ani też, co zatem idzie, ochoty łączyć się osobiście z ruchem. Z Hrubieszowa wyjechałem jeszcze w dobrej myśli, sądziłem że to zapatrywanie się osobiste, pojedyńczych ludzi, temperamentu więcej zimnego i powolnego, nie może mieć żadnego wpływu na usposobienie ogółu i na energję ruchu; tymczasem przybywszy do Lublina, gdzie spotkałem dużo kolegów dawnych, napoleońskich, natrafiłem na takie same niedowierzanie i zwątpienie w pomyślny skutek akcji rozpoczętej.

Żaden z kolegów starych do służby się jeszcze nie był zgłosił; niekontenci byli z mego zjawienia się wyrzucali mi zbytnią porywczość i przesadę w gorliwości; a niekontenci byli tem więcej, że ostatecznie musieli dla samego decorum, pójść za moim przykładem.

Ja jednak z goryczą wyrzucałem sobie że porwałem się z domu, zostawiłem rodzinę na losy niepewne, sądziłem że spełniam obowiązek, niosąc usługi moje krajowi; a tu pokazuje się żem prawie niepotrzebny. że doskonale by się było bezemnie obeszło, bo dano mi nawet to uczuć, że mogłem pozostać w domu. W podrażnionem już usposobieniu, zacząłem się rozglądać, gdzieby jak najrychlej w szeregach znaleść miejsce. Dowiedziałem się, że młodsi bracia moi, Wincenty i Wiktor, umieścili się w pułku jazdy lubelskiej, pod dowództwem pułkownika Jaraczewskiego, razem z Rulikowskimi, Kajetanem i Janem, Ignacym Komorowskim, Radwańskim i innymi przyjaciółmi lub dobrymi znajomymi (brat mój Erazm, którego rewolucja zastała oficerem w pułku szasserów gwardji, pozostał przy swoim pułku).

Zrazu miałem zamiar wstąpić do jednego ze starych pułków jazdy, lecz skład korpusu oficerów, a po części i chęć jak najrychlejszego objęcia służby, skłoniła mnie, że przedstawiłem się pułkownikowi Jaraczewskiemu, przedłożyłem mu moje dokumenta służbowe i prosiłem o przyjęcie do pułku. Pułkownik Jaraczewski przyjął mnie bardzo dobrze i przyjaźnie, lecz zbył mnie dyplomatycznie, ni tem ni owem, nie dając stanowczej odpowiedzi; gdy nastawałem o stanowcze załatwienie mojej prośby, rzekł mi nareszcie: że podług dawnego mego stanu służby należy mi się ranga oficera sztabowego, takiej do rozporządzenia w pułku nie ma, a stopnia kapitana ofiarować mi nie śmie.

Ja na to rozdrażniony odparłem, że nie przyszedłem tu po to, aby szukać stopni lub karjery wojskowej, że

chciałem umieścić się w dawnym moim pułku lecz widząc, że w jeździe lubelskiej nie ma i czterech starych oficerów, sądziłem, że tu lepiej się przydam jak gdzie indziej. Tak skończyło się wszystko na niczem; chciałem wyjeżdżać natychmiast do Warszawy, sądząc, że tu się nie umieszczę; lecz pułkownik Jaraczewski naradziwszy się z kilkoma oficerami pułku i rozmówiwszy z bratem moim Wincentym, nabrał przekonania, że ja rzeczywiście o rangę nie dbam i przyjmę stopień, jaki będzie wolny; wezwał mnie do siebie i ofiarował mi komendę 5go szwadronu z rangą kapitana; przyjąłem natychmiast i wyraziłem pułkownikowi moję wdzięczność; czem ujęty nadmienił mi jeszcze raz, że nie śmiał mi ofiarować rangi niższej jak ta, która mi się według jego przekonania należała; zwłaszcza że był już zrażony jako świadek licznych scen niemiłych, wyprawianych przez dawnych oficerów, którzy wstępując na nowo, często uważali się za pokrzywdzonych, ledwie nie obrażonych ofiarowaną im rangą, którą uważali za zbyt niską dla swoich mniemanych zasług lub zdolności

Oprócz stałej komendy 5go szwadronu, objąłem w zastępstwie podpułkownika Felicjana Fredry komendę dywizjonu składającego się z 5go szwadronu stojącego w Łęcznie, i 6go, stojącego w Krasnym stawie. Nie zdołałem jeszcze wyjechać z Lublina, (musiałem doczekać się munduru i niektórych przyborów wojskowych) gdy nadjechał do Lublina ojciec mój, przywożąc ze sobą brata Józefa; czterech synów miał w armji, a przywiózł ze sobą piątego bratanka; przyjechał sam, aby pożegnać się z nami; lecz tak jak dawniej nie chciał, bym służył w wojsku jakby dla rzemiosła, tak teraz z radością prawie, choć czule i serdecznie, żegnał nas wstępujących w szeregi ojczyste, dla walki serjo, nie dla musztry na saskim placu. Kilkakrotnie powtarzał że lżej mu będzie na sercu w domu, gdy mieć będzie licznych zastępców w armji naro-

dowej; z pokorą wyznam, że ś. p. ojciec nasz pomimo zgrzybiałej starości więcej od wszystkich okazywał zapału, a miał ojciec wówczas już 85 lat. — Po odjeździe ojca wyjechałem do Łęczny, aby objąć szwadron a zarazem miałem oglądnąć i 6ty szwadron, który dostał rozkaz wymarszu z Krasnego stawu do Łęczny.

Komendantem tymczasowym oddanego mnie szwadronu zastałem niejakiego Piotrowskiego, byłego podchorążego oficerami byli młodzi ludzie z sąsiednich szlacheckich rodzin; między podoficerami kilku akademików, byłych klubistów; jako kadry kilkunastu starych żołnierzy, pijaków i 150-ciu żołnierzy rekrutów, świeżo zupełnie zaciągniętych. Udałem się do kwatery Piotrowskiego, a oddawszy mu rozkazy upoważniające mnie do objęcia komendy, zażądałem zdania mi szwadronu. Na to moje wezwanie odpowiedziano zwołaniem jakby sejmiku. Mądre głowy polityczne świeżo kreowanych oficerów, podprawione rozumem i deklamacjami byłych klubistów, oświadczyły mi, że jako majora z największą chęcią mnie powitają, ale komendantem szwadronu nikogo innego nie uznają jak swego Piotrowskiego.

Podobna odpowiedź była dla mnie taką niespodzianką, że oprócz gniewu prawie mnie rozśmieszyła, a to porywczy mój temperament umitygowało o tyle, że zdołałem robić im przedstawienia w sposób zrazu prawie spokojny, żeby rozważyli na co się narażają, że to nie zabawka, nie komitet ani pospolite ruszenie, ale wojsko narodowe, kosztem kraju formowane, które ma być jego obroną, że dyktator wolą narodu postanowiony rozkazuje, a wysłuchanym być musi, a nieposłuszeństwo podobne i niesubordynację zakrawującą na bunt, już dla samego przykładu nadzwyczaj surowo ukarze Gdybym był miał spokój moich lat dzisiejszych lub doświadczenie tego roku wojny na wpół z ruchawką prowadzonej, w ciągłej styczności z żywiołami niesfornemi, byłbym spokojnie zacze-

kał 24 godzin, aż się umysły uspokoją, a rozsądniejsi górę wezmą, lecz wówczas zanadto jeszcze byłem żołnierzem, niesubordynację znieść nie mogłem, zdawało mi się, że z taką ruchawką niepodobna jest czegoś dokazać, i zaraz wieczorem puściłem się nocą z powrotem do Lublina z zamiarem przedstawienia zajścia gdzie należy i proszenia o zwolnienie mnie od podobnej komendy.

W Lublinie wziął generał Żółtowski i pułkownik, komendant pułku, zajście to bardzo na serjo; widząc, że zanosi się na rzecz gorszą nawet jak tamtym warjatom w Łęcznej przepowiadałem (a gniew i oburzenia moje już wyszumiały, zawziętym zaś nigdy nie byłem), uległem życzeniu generała Żółtowskiego i pułkownika i namowom starszych kolegów, aby komendy się nie zrzekać, lecz wyprosiłem sobie warunek, iż z rozkazem powołującym winnych do odpowiedzialności mogę postąpić według własnego uznania. Jakże byłem sobie wdzięczny za tę przezorność! Przybywszy do Łęczny, zastałem już obydwa szwadrony zebrane, a ta sama młodzież, wczoraj krnąbrna i rezonująca, dziś przywitała mnie głośnym żalem wczorajszego postępku, serdecznem zapewnieniem szczerego, zupełnego poddania się rozkazom władzy wojskowej i najlepszych chęci służenia sprawie krajowej. Przeczytałem im rozkazy generała, jakie miałem w ręku; ostrzegłem jeszcze raz przed podobnemi wybrykami, a zakończyłem sprawę niszcząc cytację winnych przed sąd wojskowy, oczywiście ku niemałemu zadowolnieniu tych, co się do winy poczuwali. W jakże przykrej byłbym stanął pozycji, gdybym był musiał rozkazy wykonać bezwarunkowo, winnych aresztować i odesłać pod sąd do komendy pułku!!!

W nocy odebrałem sztafetą rozkaz, wyruszyć z obydwoma szwadronami do Lubartowa. Przy ogłoszeniu rozkazu, miałem dziecinną scenę arcyczułego żegnania się żołnierzy, podoficerów etc., ze świeżo zawartemi przyjaźniami, a nazajutrz sam żołnierzy od litacyj pożegnał-

nych odrywać i z szynkowni wypędzać musiałem. W marszu zacząłem wprawiać ludzi w początkowe obroty, ale na nieszczęście w każdej wiosce witano nas traktamentem; panie rozpajały mi ludzi ledwie w nocy dopchałem moję hałastrę do Lubartowa; hałastra to wtedy była a nie szwadrony, zlatywali z koni, łamali lance jednego konia mi przebili; powoli wściekłość mnie ogarnęła, zapomniałem że to wszystko ludzie z pobliskich wiosek, wszystko żegnało się i rozstawało z żalem z rodziną, krewnemi i przyjaciółmi; wreszcie juz i głosu mi nie stało z ciągłego łajania, zachrypłem jak stary pies i znowu byłem na punkcie, rezygnować z komendy takich wojaków.

W obydwu szwadronach był tylko jeden dawny podchorąży Piotrowski, dalej kilku starych podoficerów, okrutnych pijaków, reszta sami młodzi nowozaciężni żołnierze; wyruszyliśmy z Lubartowa i maszerując 10 dni z dwudniowym odpoczynkiem w Łukowie, ćwicząc się w obrotach o ile można było podczas marszu, stanęliśmy w Siedlcach, na linji bojowej, bo Moskale już byli wkroczyli w granice Królestwa.

Nazajurz w Lubartowie ludzie moi zmienili się jakby różczką czarodziejską tknięci, wszystko milczało słuchało i z ochotą wypełniało rozkazy wszelkie, a nawet znosili chętnie wyskoki złego humoru, jaki mi jeszcze z dnia poprzedniego pozostał; wieczorem obchodząc stajnie, usłyszałem przypadkiem młodego podoficera mówiącego do stojących w koło niego podoficerów i żołnierzy: „niech tam nasz rotmistrz krzycze i łaje, byle nas z tą samą energją na nieprzyjaciela poprowadził;“ poznałem wtedy poczciwego ducha tej młodzieży i od tej chwili poczułem się między swojemi, do końca pozostał stosunek mój z obydwoma szwadronami jak najlepszy, jak to mówią: jakby ojca z dziećmi.

Komendę pułku objął był po Jaraczewskim, pułko-

wnik Wierzbicki; podpułkownik Felicjan Fredro, spodziewał się tej komendy dla siebie; gdy go ominęła objawił dosyć wyraźnie swoje nieukontentowanie, komendą i ćwiczeniem swego dywizjonu, zupełnie przestał się zajmować, do tego pił ogromnie, tak że był komendantem tylko tytularnym a całe zajęcie i praca wyrobienia surowego materjału mnie przypadła w udziale; ale miałem też satysfakcję że już w Siedlcach, ćwicząc się tylko w marszu, gładko w kolumny sformować i szybko rozwinąć się z mojemi dwoma szwadronami byłem w stanie.

Pierwszych dni lutego zacząłem z mojemi młodemi żołnierzami uzbrojonemi w lance sosnowe i broń palną niekalibrową, pełnić służbę obozową przed nieprzyjacielem Pierwszy raz zajrzeliśmy w oczy Moskalom wcieleni do korpusu jenerała Żymirskiego; przez 6 dni w ciągłych utarczkach przywiedliśmy na sobie nieprzyjacielską armję pod Wielkie Dęby, gdzie czekał Chłopicki z armją swoją.

Od 17 lutego 1831 połączeni w brygadę z 1szym pułkiem ułanów utrzymywaliśmy przednią straż armji i stoczyli kilka małych potyczek. 24 lutego byliśmy z korpusem Krukowieckiego pod Białołęką, naprzeciw Szachowskiego a 25 luty, dzień pamiętnej batalji Grochowskiej. Po batalji objęliśmy z 3cim pułkiem strzelców konnych cały łańcuch straży i dopiero nadedniem, ostatni, przeszliśmy most na Wiśle, do Warszawy

Tam było wówczas wszystko w największym popłochu, zdawało się, że już wszystko stracone. Bywając u generała Paszkowskiego spotykałem tam i rozmawiałem z ludźmi rozumnymi a niewątpliwie gorliwymi patrjotami: z Franciszkiem Wężykiem, kasztelanem Bieńkowskim i innymi, i ci uważali sprawę naszę za przepadłą z tej przyczyny, że znając wszystkich naszych generałów, nie widzieli żadnego, któryby charakterem, energją i zdolnościami dorósł był zadaniu naczelnego wodza, oprócz tego

dostrzegali u wybitniejszych generałów i niewiarę i nawet złe chęci. W tych stosunkach brat mój Wincenty, komenderujący 3-cim szwadronem tego samego pułku, zażądał odemnie, abym wrócił do domu; mówił że dosyć będzie jak nas tu czterech braci nieżonatych pozostanie ty wracaj do rodziny, bo choć dobrych szans dla nas mało, koniecznym tu nie jesteś.

Od osób przybywających z Galicji dowiedziałem się jednak o nadziejach, jakiemi tam wszyscy jeszcze byli przejęci; przyszły wiadomości o powstaniu na Litwie, potem bitwy pod Wawrem i Dębem, i już nie dałem sobie mówić o porzuceniu pułku. Spotkałem jednakże przypadkiem pułkownika Chmielewskiego, dawnego kolegę z 8 go pułku ułanów, ongi adjutanta mojego ojca; komenderował wówczas pierwszym pułkiem strzelców konnych, pułkiem, w którym służyłem za czasów W go księcia i w którym dużo jeszcze było dawnych znajomych i kolegów. Ci wszyscy koniecznie mnie do swego grona zapraszali, tak że w końcu namowom pułkownika i oficerów uległem i wniosłem prośbę o przeniesienie mnie do 1-go pułku strzelców konnych; w kilka dni prośbie mojej stało się zadość. Manewrowaliśmy wówczas pod generałem Pacem w okolicy Kozienic. W kilka dni jednak przybył generał Chrzanowski z brygadą piechoty, zabrał naszą brygadę składającą się z 1-go pułku strzelców konnych i 1-go pułku krakusów i poprowadził na miejsce Dwernickiego pod Zamość; przechodziliśmy pomiędzy Lublinem, gdzie stał korpus rosyjski generała Wit'a i pomiędzy Łęczną zajętą przez korpus generała Rüdigera.

Pod Lubartowem natknęliśmy na Moskali, po bardzo gorącej i zaciętej walce, w której straciliśmy kilku dzielnych oficerów, a najbardziej uczuć się nam dała strata pułkownika Chmielewskiego i kapitana Siemońskiego, przebiliśmy się przez tamujących nam drogę Moskali, poszli dalszym marszem ku Zamościowi, a ostatecznie stanął

pułk nasz w Zwierzyńcu pod osłoną fortecy Zamościa, względnie spokojnie. Korzystając z chwilowego spokoju i blizkości granicy galicyjskiej, wziąłem urlop, aby dojechać do domu choć na parę dni.

O wyprawie Dwernickiego na Wołyń miałem od razu przekonanie, że skończyć się musi wkroczeniem do Galicji, a niechcąc uchodzić za proroka *post festum*, powołuję się na listy moje ze Zwierzyńca do żony pisywane. Przyjechawszy do Galicji i do domu, byłem zdumiony, jak różowo opinja publiczna na sprawę powstania naszego jeszcze się zapatrywała; nadzieje były najlepsze, z wyprawy Dwernickiego obiecywano sobie Bóg wie jakie, bajeczne korzyści; nie chcąc psuć ducha i udawać złowieszczego puszczyka, milczałem.

Przekonałem się że w części organa publiczne taiły prawdziwy stan rzeczy i umyślnie świetnym go przedstawiały, a znacznie głośniej agitowali i rezonowali rozbici powstańcy Kołyski, których pełna była Galicja; oni to, zrobiwszy niewiele, (bo zupełnie nic), a siedząc chwilowo w miejscach bezpiecznych, udawali że mają wiarę w powodzenie naszej broni; że powstanie dopiero na dobre się rozpoczyna, etc etc., podobne brednie pletli, podtrzymując niby ducha tanim kosztem; mnie i żal i gniew dławił, bo widziałem, że w armji siła moralna upadła, bo nie było już zaufania w dowództwie, widziałem że siły i zasoby się wyczerpywały; doczekałem się, że korpus Dwernickiego wkroczył do Galicji, przez co siły niewielkiej armji naszej tak znacznie uszczuplone zostały, a tu tłum krzykaczy bałamucił ludzi, głosząc i wpierając, że wszystko idzie jak najlepiej. Zabawiwszy tydzień w domu, powróciłem do pułku. W krótce wyruszyliśmy pod dowództwem jenerała Chrzanowskiego, biorąc udział w skombinowanym ruchu przeciw Rüdigerowi.

Na przeprawie przez Wisłę, we wsi Płotyczy, wybrakował jenerał 320 ludzi i koni, słabszych, mniej zda-

tnych do boju, i kazał mi ich odprowadzić do Kielc, dla chwilowego wypoczynku i ułatwienia dalszej formacji rezerw. Dostawą broni, obuwia, mundurów, amunicji, dla nowo formujących się oddziałów, trudnił się książę Józef Lubomirski ale żądał od komendy naszej oficera znanego nazwiska i pewnej firmy, aby te dostawy od niego odbierał. Przeznaczono mnie do tej czynności, wypraszałem się jak mogłem, bo co to, to już zupełnie nigdy moim zawodem nie było, ani też usposobieniu memu nie odpowiadało; lecz jenerał Weissenhof i prezes województwa Wielogłowski, tak dosadnie mi przedstawili ważność tej czynności żądali tego jako usługi patrjotycznej, zresztą kazano: musiałem słuchać.

Otrzymałem rozkaz udać się do Nowego Miasta, porozumieć się z ks. Józefem Lubomirskim, co do transportów i sposobu odbioru dostaw, a do tego przeznaczono mi mieć nadzór nad formującemi się nowemi oddziałami, mianując mnie majorem (nominacja wydana przez jenerała Różyckiego). Niedaleko Nowego Miasta organizowała się reszta pułku galicyjskiego pod niedołężną komendą Strachockiego. Głównym organizatorem galicyjskich posiłków był książę Henryk Lubomirski; w Wawrzeńczycach niedaleko Nowego miasta, miał zrobić przegląd formującego się oddziału kawalerji Strachockiego i mnie z sobą zaprosił.

Oddział ten składał się wówczas z 230 ludzi; książę Henryk spróbowawszy odbyć przegląd, przekonał się od razu o zupełnem niedołęztwie komendanta, odjął mu zaraz komendę, a będąc w ambarasie, komu ją powierzyć prosił mnie, abym ją przyjął i formację oddziału dalej prowadził. Tego uczynić nie mogłem bez wyraźnego rozkazu moich komendantów, a nie chciałem, bo byłem przeciwny formacji wszelkich nowych odrębnych korpusików i oddzialików, będąc tego przekonania, że daleko lepiej i praktyczniej było, ludzi i konie trochę poduczyć, urobić, i niemi ubytek w istniejących już pułkach zapełniać.

Książę Henryk postawił jednak na swoim; w kilka dni zaledwie odebrałem od jenerała Weissenhofa rozkaz objęcia komendy nad tym oddziałem, wtedy przyłączyli się do mnie natychmiast z własnej woli Grocholski i Sobański z oddzialikami, które swoim trudem zebrali; i tak wystąpiłem w 300 koni, porzucając Wawrzeńczyce a idąc na linję bojową. Zaraz drugiego dnia marszu jednak spotkałem Karola Różyckiego z pułkiem manewrującego w kierunku Krakowa; lecz wezwał mnie do siebie, powiedział że wszystko stracone a on pułk do Galicji prowadzi i mnie wzywa bym się do niego przyłączył. Na takie dictum i to z ust takiego człowieka jak Karol Różycki, nie było co robić, jak poddać się jego komendzie. Z nim razem przeszedłem Wisłę pod Krakowem.

Ze Zwierzyńca jeszcze a potem z Nowego miasta nie krępowałem się już żadnemi skrupułami, aby powiedzieć w listach moich do rodziny i do przyjaciół otwarcie jak źle rzeczy stoją i jak bezpodstawnemi są przechwałki owych agitatorów ku podtrzymaniu ducha; listy te narobiły mi mnóstwo nieprzyjaciół między tymi, którzy się czuli dotknięci lub zdemaskowani. To też zaraz po upadku powstania, a nawet przed końcem wojny jeszcze zaczęli głosić, że ja wyobrażenia o przebiegu akcji mieć nie mogę, bo nawet na linji bojowej nie byłem, lecz przez cały czas wojny magazynów w Nowem mieście pilnowałem. Języki to były giętkie, gęby wyszczekane, więc choć z razu na takie insynuacje tylko pogardliwym uśmiechem odpowiadałem, to przyznać się muszę, że mi tych bajek później było za dużo, niecierpliwiły mnie i gniewały te gadaniny, których wątek był niepochwytny. Wziąłem wprawdzie i miałem świadectwo i stan służby, w którym wymieniono wszystkie potyczki, w jakich z pułkiem brałem udział, opuszczając pułk krakusów czyli jazdy lubelskiej; lecz komuż miałem się legitymować? Poczucie godności nie pozwalało ni temu ni owemu prezentować

się z dokumentami w ręku. Przecież byłem dobrze znany w szerszych kołach obywatelstwa, tylu kolegów, żyjących świadków co dzień spotykałem, a jednak bajka plotkarska przyjęła się i kilkakrotnie w latach późniejszych z jej posiewem się spotkałem.

Do roku 1846 siedziałem spokojnie w Turówce, do żadnych spisków lub robót potajemnych nie należałem; takie przygotowania niech prowadzą ludzie potężni głową lub majątkiem, jak się tłum do tego wciągnie, to może być dużo szumu, dużo klęsk, ale dobrego nic nie będzie; naszem zadaniem przechować ducha miłości ojczyzny, ducha poświęcenia osobistego, a o ile można na wszystkie warstwy go rozszerzyć.

W początkach roku 1846 zjawiła się u mnie deputacja, przysłana przez uboższe warstwy dobrze myślących rodaków, obrabianych przez emisarjuszy paryzkich w celu wywołania ruchu powstańczego; przyszli do mnie z propozycją, abym w razie powstania objął nad nimi dowództwo. Nie odmówiłem, lecz zapytałem: z ilu i z jakiemi ludźmi będę miał do czynienia. Nie odpowiedziano mi na to i dotąd nic już o niczem nie słyszałem. Jak się później dowiedziałem, dostali naganę za ów krok od emisarjusza prowadzącego agitację; gdyż, jak utrzymywał ów pan, wciągnięcie takiego elementu jak ja, mogło tylko zepsuć i sparaliżować czynności; za to raczył pozwolić, żeby, jeżeli już zajmą zbrojnie miasteczka: Skałat, Grzymałów i Touste, mnie wezwali i kazali się prowadzić na Tarnopol.

Wspomnienia roku 1809-go wielką grały rolę w ułatwieniu tej agitacji na korzyść tych bezsensowych planów; jeżeli się komu,już ujętemu, przedstawiało trudności, nie trudności, ale niemożliwość akcji zbrojnej bez żadnych środków wewnątrz i bez poparcia z zewnątrz, otrzymywało się zawsze tę samę odpowiedź: „A jak w r. 1809-ym było?" Czosnowski zajął Tarnopol, Strzyżewski Czortków

Rozwadowski Monasterzyska i Niźniów bez oporu prawie; taka była obawa przed powstańcami przed rewolucją. Zapominały te gorące ale nie bardzo bystre głowy, że nie postrach imienia rewolucji, nie zawsze broń powstańców, ale urok zwycięztw Napoleona. Armja i zwycięztwa ks. Józefa, znaki tej armji naprzód wydane i na czele ruchu stojące ułatwiły ruch i zrobiły od razu jaki taki sukces możliwym.

Nie wiem, czy starostwa ówczesny tarnopolski, osławionej pamięci satrapa, Sacher, dowiedział się o propozycji mnie uczynionej, czy też w ogóle miał mnie za człowieka niebezpiecznego, koniec końców kazał mnie, mego brata Wiktora, Erazma i Wincentego, Samuela Golejewskiego Małachowskich Mochnackich i ze 20-stu innych obywateli aresztować bez żadnego z naszej strony powodu i odstawić do Tarnopola.

Gdy landsdragon zjawił się w Turówce i gruchnęła po wsi wieść, że mnie mają aresztować, wyroił się tłum ludzi; na czele tłumu poważniejsi gospodarze wyszli naprzeciwko urzędnika i landsdragona i oświadczyli im, bardzo pokornie się kłaniając ale bardzo stanowczo, że mnie aresztować nie dadzą. Urzędnik i landsdragony odjechali z kwitkiem; lecz ja chłopów zebrałem, podziękowałem im za przywiązanie do mnie i okazane dobre chęci, lecz zarazem przedstawiłem im bezskuteczność oporu i niebezpieczeństwo takich zaburzeń, poleciłem im by się spokojnie zachowali, a sam siadłem na bryczkę i z własnej woli pojechałem do Tarnopola. Byłoby to się na tem skończyło, ale mściwy z natury i despotyczny Sacher, podbechtany jeszcze przez urzędnika który przed chłopami musiał się rejterować, chciał koniecznie: „ein Exempel statuiren“ jak się to wówczas mówiło; chciał znaleść głównych sprawców oporu, aby ich powsadzać brevi manu do kryminału. Przysłał komisję śledczą do Turówki, lecz ta niczego od chłopów wyciągnąć nie mo-

gła; a gdy komisarz kazał aresztować na chybił trafił, najstarszych i najzasobniejszych gospodarzy, powtórzyła się ta sama scena, jak przy zamierzonem moim aresztowaniu, i komisja znowu musiała dać drapaka; wtedy przysłano pluton huzarów, aby kilkunastu gospodarzy siłą zaaresztować i do Tarnopola przyprowadzić. Chłopi zatarasowali się w chatach i bronili się, rzucając ze strychów na wyważających drzwi huzarów, co się pod ręką nawinęło. Kilka chałup zdobywali cały dzień, jedną po drugiej, zrazu dość spokojnie, lecz rozjątrzenie rosło z obu stron; tak że wieczorem już wylęgło ze stukilkudziesięciu chłopów z cepami i kosami, w groźnej postawie naprzeciw plutonu huzarów. Komenderujący oficer ludzki i rozważny człowiek, wysłał raport o sytuacji do starosty i do jenerała komenderującego wojskami w Tarnopolu. Ja tymczasem siedziałem z innymi sąsiadami w kozie, gdzie mnie natychmiast po przybyciu do Tarnopola zamknięto. W kilka dni zjawia się urzędnik prowadzi mnie do Sachera, któren mi z boleśną miną oświadcza, że poszlaki, z powodu których zostałem aresztowany, okazały się płonne, że mogę jechać do domu, a jakby od niechcenia wspomniał, że sądzi, iż zburzone umysły chłopów uspokoić potrafię. Widać bał się podrażnić chłopów, bo wieść o Turowieckiej historji gruchnęła po całym Tarnopolskiem; dla tego mnie uwolnił, a resztę obywateli, tyle winnych co i ja, kilka miesięcy w aresztach przetrzymał.

Przybycie moje do domu położyło koniec zaburzeniom, chłopi kontenci że na swojem postawili, częstowali przyjaźnie odchodzących huzarów, a mniemanych przewódzców już nie szukano.

Nigdy nie schlebiałem chłopom ani też nie starałem się o popularność, ale dbałem o nich jak dobry przełożony dbać powinień, karałem niedbalców, hultajów lub pijaków, i to dosyć ostro; lecz dobry gospodarz i porządny człowiek, nigdy ze złym słowem się nie spotkał;

owszem starałem się przy okazji odszczególnić go i okazać mu pewne poważanie. A jak któren był w biedzie, to znałazł we dworze natychmiastowy i skuteczny ratunek, to też choć czasem w gniewie wyburczałem ostro, skutek pokazał, że miałem w chłopach prawdziwych przyjaciół. Stosunek nasz został do dziś dnia ten sam, lata po 48-mym roku nic nań nie wpłynęły. Widać że lepiej moim sposobem być dobrym sąsiadem i opiekunem, jak z chłopem kokietować, złym instynktom folgować a zbywać go słowami bez pomocy jak jej potrzebuje. Bo nie mówię tu o takich, którzy krzywdzą chłopa, lub pozwalają krzywdzić, bo tych i prawo i opinja publiczna ostro potępić powinna.

Gdy ja siedziałem spokojnie w domu, Sacher wyprawiał harce po całym obwodzie, rewizje po domach, których właścicieli w więzieniu trzymano; podżegania chłopów przez płatną hołotę, szykany na każdym kroku; przy rewizjach zabierano broń pamiątkową, książki, rękopisy, pamiątki rodzinne, często w razie nieobecności właścicieli zabierano i inne rzeczy, a wszystko to przepadło, nic a nic nie zwrócono. W Rożyskach zabrał całą zbrojownię pamiątkową ojca i pamiętniki jego obszerne w kilku tomach od roku 1796 pilnie spisywane*); dorywcze tylko notatki przypadkiem siostra moja Anna przechowała i z własnych wspomnień je uzupełnić usiłowała.

W owe czasy przypada także morderstwo popełnione na Samuelu Golejewskim w Chlebowie; był to mój blizki kuzyn i żyliśmy z sobą w zażyłej przyjaźni, niezwykłej siły i zapamiętałej odwagi człowiek, przytem trochę dziwak i szukający awantur impetyk, ale prawy, zacny i otwarty charakter.

---

*) Jeden tom tych zebranych rękopisów znaleziono w Wiedniu w roku 1884 przypadkiem u antykwarjusza między makulaturą. Jaką drogą tam się dostał? chyba przez godnego spadkobiercę zacnego Sachera.

Sacher i jego zaciągnął w owę matnią, którą liczne grono obywateli do więzienia wpakował. Przyczyn i podstaw do uwięzienia nie było żadnych, więc przetrzymawszy jakiś czas w więzieniu, jednego po drugim uwalniano. Komunikacje były wówczas trudne i kosztowne, opieki przy centralnym rządzie dla szlachcica nie było żadnej, a despotycznemi rządami Metternichowskiemi, gnębiącemi nas systematycznie, duch ogółu tak był przybity i złamany, że nikt nawet skarżyć się na te ciągłe bezprawia nie miał ochoty. Samuel Golejewski wypuszczony z więzienia, oburzony niesprawiedliwością i samowolą Sachera, głośno mówił że skarżyć się będzie w sferach wyższych, a w licznem gronie cywilnych i wojskowych towarzyszy odezwał się: „Żebym miał boso o żebranym chlebie iść do Wiednia, to pójdę i trafię gdzie należy, żeby tego ..... zaskarżyć, aby krzywdy nasze przedstawić.“ Doniesiono o tem natychmiast Sacherowi, ten przysłał Golewskiemu wezwanie, aby natychmiast z Tarnopola wyjeżdżał; żyjąc jednak w przyjaźni z pułkownikiem huzarów, wówczas w Tarnopolu konsystujących, Golejewski zakwaterował się u pułkownika, gdzie go władze cywilne już atakować nie śmiały. Po dwóch dniach wyjechał z Tarnopola do domu i zaraz w podróż do Wiednia wybierać się począł.

W kilka dni później znaleziono go zamordowanego we własnym domu. Napadnięty we śnie i cięty siekierą w głowę borykał się z mordercami przez 4 pokoje. Ślady zakrwawionej ręki na ścianie wskazywały, że szamocząc się z kilkoma ludźmi szukał pałasza, który zwykle stał za piecem, lecz nie znalazł go, bo domownik należący do zbójów usunął pałasz, i użył go jako broni ku dokonaniu morderstwa. Rano zastano Samuela zapartego w drzwiach czwartego pokoju od sypialni, już skostniałego, na ciele 17 ran, zadanych siekierą, pałaszem i różnem kuchennym; w jednej ręce kurczowo zaciśniętej miał pełną garść wło-

sów blond mocno napomadowanych, z rzeczy i pieniędzy nic nie ruszono.

Brat mój Wiktor, mieszkający wówczas w Rożyskach, przyjechał w dzień po dokonanem morderstwie przypadkiem do Chlebowa, chcąc odwiedzić przyjaciela i krewnego. Zdziwiony zamętem panującym na obejściu domu napotyka na dziedzińcu miejscowego mandatarjusza i pyta co się tu dzieje? Mandatarjusz wznosi oczy do nieba i powiada: Wielkie nieszczęście! pana hrabiego szlak trafił. " Wiktor poszedł zobaczyć ciało, a ujrzawszy nieboszczyka okrytego ranami, z rozciętą głową i przebitego na wylot, krzyknął: „Jak to szlak! toż to morderstwo oczywiste! Posełaj pan natychmiast do Tarnopola po komisję;" — a sam nie czekając ruszył do Tarnopola domagać się śledztwa; nie wiem co komisja zesłana znalazła, ale raport podano, że hr. Samuel Golejewski umarł w skutek ataku apoplektycznego. A o śledzwie żadnem ja przynajmniej nie słyszałem. Dużo nacierpieliśmy się w tych latach, to też gdy gruchnęła w roku 1848 wieść o wypadkach wiedeńskich, o wypędzaniu Metternicha, o nowej konstytucji, wszystko odżyło, spodziewając się lepszej przyszłości

Nakoniec w roku 1848, gdy po rewolucji wiedeńskiej całe państwo Austrjackie na drodze rewolucyjnej postępowało, my Polacy, którym najwięcej o zmianę stanu rzeczy chodziło, zaczęliśmy myśleć o zbrojeniu się. Mianowano mnie naczelnikiem gwardji narodowej obwodu tarnopolskiego. Powagi komendanta używałem, aby uorganizować ją w całym obwodzie. Wyszedłem z ogólnych wyborów całego obwodu w końcu września do gwardji narodowej tarnopolskiej. Bombardowanie Lwowa i ogłoszony stan oblężenia położyły koniec wszystkiemu i mojej służbie publicznej, którą w czterech okresach życia mojego przedsiębrałem.

Przebieg życia mojego pozostawiam tylko dla pamięci dzieci moich jako wspomnienie przywiązania do ojczyzny, które mnie w spuściźnie po śp. Ojcu moim się dostało, jako wspomnienie trudów życia mojego, gdyż czuję, że mam go dosyć i że koniec mój niedaleki.

KONIEC